



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 0.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

KSPEDECYJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Jak należy z matkami dziećmi postępować.

Wiek 19-ty nazywamy wiekiem postępu, bo rzeczywiście nauka, we wszystkich gałęziach dała nam moc wynalazków—lekarze zowią go wiekiem nerwów, bo ta utrapiona choroba dręczyludzkość nieszczośliwą; jabym powiedziała, że wiek ten słusznie zasługiwałby na miano wieku egoizmu! Nauka, cywilizacja, są matkami wynalazków, nerwy słabe, egoizm są dziećmi złego wychowania naszego pokolenia. Mało matek mamy rozumiejących, jak dzieci wychować należy. Cała uwaga zwrócona, aby jak najwcześniej książką zacząć naukę, a zdrowie, zahartowywanie dziecka do walki z ciężkimi warunkami życia, częstokroć podrzędne zajmują miejsce. Pieszczoty, dogadzanie dzieciom, zachwywanie się ich dowcipem, pozwalanie na śmiały wypowiedanie swoich zdań o starszych osobach, wyradzają w dzieciach zarozumiałość, egoizm, lekceważenie wieku, pewność w sobie przedwczesną, obojętność na wszystko, co im nie dogadza. Jednym słowem, przypatrując się wielu dzieciom zblizka, doszłam do przekonania, że większa część matek terażniejszych zaślepiona w swych dzieciach, zamiast pociechy, przez złe zrozumianą miłość, wychowuje egoistów, którzy, ani jej miłości, ani poświęceń zrozumieć nie potrafią.

Biedne, nieszczęśliwe są to istoty matki słabe dla dzieci. Rozumiem, że najkorzystniej jest, szczególnie dla dziewczynek, wzrastać pod okiem matki, ale, (nie rzucajcie na mnie kamieniem matki zaślepione) jeżeli która nie czuje się na siłach rozsądnie dzieckiem pokierować, niech

dobierze sobie osobę zaufania, niech powie sobie, że ta przykreść jaką jej sprawia strofowanie dziecka może jemu w życiu na szczęście się zamienić, ale opamiętać się trzeba, bo największa nauka, dowcip, nie zrobią z egoisty człowieka pożytecznego dla społeczeństwa.

Małym istotom tak nie wiele do szczęścia potrzeba; nie uczmy je więc być wymagającymi; nie należy przyzwyczajać dzieci nawet bogatych do zbytków. Matka nie powinna odmawiać sobie zbyt wiele, aby dzieciom dogadzać natomiast. Dziecko takiej ofiary nie rozumie, i będzie tego przekonania, że wszystko, co lepsze, jemu się należy; ztąd powstaje egoizm, ta brzydka cecha 19-go wieku.

Teraz dzieci powszechnie przychodzą na świat więcej umysłowo rozwinięte jak dawniej bywało. Należy więc rozumnie je chować, aby te zdolności pożytek przyniosły, a nie rozwijać je na szkodę charakteru dziecka. Rozsądna matka ciężkie bardzo ma zadanie jeżeli sama chce, i jeżeli potrafi po chrześcijańsku dzieci swoje wychować. Dzieci jednych rodziców często różnią się nie tylko zdolnościami, ale i charakterem. Od kolebki czujna matka powinna badać usposobienie swego dziecka. Nie należy zwracać uwagi, czy dziecko lubi to czy nie, jak się je strofuje, tylko przy każdej sposobności skarcić należy jak na to zasłużyło. Jak najmniej dzieciom w strojach dogadzać—dla zdrowia elegancja nie jest potrzebną—podechlebia ona próżności matek, a z czasem wyradza próżność w dzieciach. Najbogatsi rodzice skromnie powinni dzieci ubierać. O ile tylko środki materyalne pozwalają, od kolebki starać się trzeba mieć rozsądną piastunkę przy dzieciach. To jest zbytek, na którą rozsądni rodzice powinni sobie pozwalać. Matka najlepsza nie może się obejść bez pomocy, mając inne jeszcze obowiązki do spełnienia, niechże się stara, aby ta pomocnica mogła ją dobrze zastąpić. Dziecko dwuletnie już potrzebuje kierunku,

raz skarcić złe, dziecko zapamięta, a gdy mu pobleżać, już przy strofowaniu gdy drugi raz coś zbroi, maleństwo się buntuje, bo czasem nawet jeszcze nie zrozumie dobrze, dla czego na jedną i tę samą rzecz dwie osoby inaczej się zapatrują. Dla dobra dziecka więc, dla uniknięcia płaczków niepotrzebnych, dzieciom małym na rezonowanie pozwalając nie można, dopóki jest dzieckiem z ufnością ma być posłusznym, takie postępowanie stanowcze, sprawiedliwe ułatwi dalszy kierunek. Od kolebki dziecku wytłómaczyć należy, że nigdy nikomu przykreści robić nie powinno, starszych szanować, każdą oddaną mu usługę cenić—nie uważać służących otaczających za istoty podrzędne. Jak tylko potrafi zrozumieć, należy objaśnić, że służy się dziecku dla tego, że jeszcze samo rady sobie dać nie potrafi—i dla tego, o ile można, usuwać od dzieci osoby, któreby nierozsądnymi uwagami zły wpływ wywierać mogły.

Zabawy dzieciinne niech będą stosownie dla wieku obmyślane. Obcowanie małych zawsze z dorosłymi częstokroć bywa niedobrem. Wyradza ciekawość do podsłuchiwania rozmów, których dziecko jeszcze nie rozumie, i odrywa od zajęcia stosownego dla jego wieku. Matki, nie mające w domu osoby, którejby można dziecko powierzyć, skoro już jest bez piastunki, niech wynajdą jakie zajęcie dla dziecka na stronie opodal od miejsca gdzie starsi rozmawiają, to i dla dziecka będzie korzystniejszym, i dla obecnych przyjemniejszym. Absorbowanie uwagi gości dowcipami faworytów często odstrasza nawet osoby lubiące bardzo dzieci. Zabawy powinny być o ile można nie hałaśliwe. Trudno wymagać od dzieci powagi dorosłych osób, ale zawsze i wszędzie dziecko powinno pamiętać, że nie należy nikomu przykreści robić, a czyż niesforna zabawa; przeraźliwy krzyk, sprzeczki, mogą nie drażnić domowników. Dla czego nie pozwalamy dzieciom hałasować przy gościach, oto dla

tego, że chcemy, aby dzieci nasze przy obcych w korzystnym świetle się okazywały—dla czegoż mają być innymi dla osób z którymi zawsze przebywać muszą? Powinny dzieci według mnie, dla bliskich być jeszcze miłszymi. Zgubną jest metoda mówienia dzieciom: „nie rób tego, bo jak kto obcy zobaczy: to brzydko będzie.“ Dziecko uczymy sami obłudy, a dostatecznie jest dziecko nauczyć, że zawsze powinno być przyzwoitem i posłusznym. Na pozór wydaje się rzeczą błahą, w jaki sposób dziecko zachowuje się przy jedzeniu, jednak na to należy bardzo zwracać uwagę. Dziecko raz przyzwyczajwszy się dotykać jedzenia palcami, głośno językiem i szczękami jedzenie poruszać, jeżeli mu nie zganiemy tego, jeżeli nie nauczy się w jaki sposób należy jeść, aby obecnych nie drażnić nieprzyzwoitem zachowaniem się, to, nawet w późniejszym wieku, człowiek nie tak łatwo się pozbędzie złych przyzwyczajzeń.

Jestem przeciwną wczesnym bardzo naukom książkowym dla dzieci. Bardzo wątpliwe jest pokolenie teraźniejsze. Nauczanie dzieci małych—bajek, wierszyków na pamięć, uważam za szkodliwe—pożytku nie ma żadnego, a pamięć się nuży. Jak tylko dziecko pojmo wać już zacznie, rozmawiać z niem można w sposób nauczający o rzeczach, które nas otaczają, ale mówić tylko o tyle, o ile ono może łatwo objąć swoim słabym rozumem.

Bardzo małemu dziecku nigdy nie trzeba kazać długo rozmyślać, nad rzeczą, której może jeszcze zrozumieć nie potrafi. Dzieci mają zwyczaj dawania pytań często wcale niepotrzebnych. Teraźniejszym systemem chowając dzieci, mentorki, czują się w obowiązku wykładania rodzaju lekcji, aby ciekawość dziecka zadowolnić. Ja znowu doszłam do tego przekonania, że dzieci, często pytają, ot tak sobie, aby tylko coś powiedzieć, wykładu nie rozumieją, jeżeli idzie o rzecz dla nich jeszcze nie dostępną; sądzę, że daleko jest korzystniej w takich wypadkach dziecku powiedzieć bez ogródki, że wytłumaczy się mu to, jak dojdzie do wieku, kiedy ta rzecz, jeszcze dziś nie zrozumiała będzie mu rzeczywiście potrzebną. Zbyteczne rozwijanie umysłów do niczego dobrego nie doprowadza. Dziecko przestaje być dzieckiem, umysł nuży—nie zajmuje go już rozrywka stosowna dla jego wieku, wyradza się nieznośna ciekawość, zarozumiałość, a jak przyjdzie czas poważniejszej nauki ochoty do niej nie ma. Tak są różne zdolności dziecka i charaktery, że trudno określić stanowczo jak się z niem obchodzić należy, to już zupełnie rozsądnym kierownikom zostawić wypada.

Jak dziecku nie wystarcza już bezmyślna zabawa, około lat czterech wieku, należy obmyśleć jakie zajęcie, przy którym, godzinę lub więcej dziennie małeństwo powinno z cierpliwością i uwagą posiedzieć. Niech to będzie rodzaj zabawy, którą jako obowiązek spełnić należy. Niech on wie, że codzień musi to a to zrobić, a więc wcześniej się przyzwyczai do obowiązku. O ile można, od dzieciństwa trzeba badać do czego dziecko ma większe usposobienie i w tym kierunku je rozwijać. Nawet mała robotka, jeśli z zamiłowaniem i bez wielkiego trudu dziecko ją robi, nie wyda się nudną, i większej wytrwałości spodziewać się należy. Tak dziewczynki jak chłopcy nie powinni według mnie do skończonych lat sześciu nauk książkowych zaczynać, ale, zając dzieci należy koniecznie, aby przywykły do tego, że obowiązek każdy musi spełnić. Fizyczne rozwijanie dziecka na pierwszym powinno być planie. Nauczanie posłuszeństwa, przyzwoitości, grzeczności jest również ważnem, a bodaj czy nie pożyteczniejszem, jak opowiadanie o rzeczach, których dziecko nie rozumie. Oto kilka słów o pierwotnym wychowaniu; jest to kwestja której wyczerpać nie można, bardzo słabą mam nadzieję, aby moje uwagi zyskały aprobatę wielu matek, którym się zdaje, że dzieci ich są geniuszami, a które niestety po większej części doszedłszy do lat okazują się bardzo zwykłymi śmiertelnikami, i matki zaślepione, jak często, zamiast wdzięczności od dzieci

źle wychowanych dużo mają zgryzoty jako zapłatę za pobłażanie i ofiary poniesione dla tych niepoznanych przez świat mędrców.

H. M.

Piotr Głmielowski.

Nasza krytyka literacka

W WIEKU XIX-ym.

(Dalszy ciąg)

Poezya jako „dążność do wejścia w harmonią z jakimś wielkim powszechnym ogółem, jako odpowiedniość czemuś nieznanemu a jednak pewnemu“ rozlana jest w całym wszechświecie zarówno jak w dziełach ludzkich. Można ją uważać za równoznaczną z twórczością i mieści się tedy ona i we wszystkich sztukach pięknych. Poezya w szczyplejszem znaczeniu, jako jedna ze sztuk pięknych jest tylko ułamkiem albo odbiciem owej wielkiej poezji świata. „Jeżeli jakiś człowiek zdolnym będzie pojąć mądrość nieskończoną, przejawiającą się w ładzie wszechświatowym, jeżeli potrafi wyrazić ją chociażby w najdrobniejszej cząstce, „odbić echo choć jednego dźwięku tej wiecznej harmonii,“ to on jako cząstkowy wyrazićiel „ogólnej wysokiej mądrości“ zostanie poetą. „Poeta musi—to być rozum swojego narodu i czasu.“ Ażeby usprawiedliwić wyraz *rozum* użyty przez siebie dla oznaczenia twórczości, Grabowski woła: „Co to za bezsens był, kiedy utrzymywano, że poezya może być oddzielna od wielkiego rozumu, gdzie poetów miano właśnie za ludzi lekkich i głowy słabe, gdzie pisano fraszki poetyczne, gdzie obok gadatliwej mądrości wyobrażano sobie blażeńską, trzpiotową poezję.“ Prawda, że to było źle; słusznie Grabowski domagał się rozumu od poetów, ale pozostanie rzeczą nieuzasadnioną, nazywać poetę rozumem swojego narodu i czasu, gdyż nazwa ta słuszniej należy się filozofowi, a nie określa najistotniejszej właściwości poety, t. j. siły twórczej. Spostrzeżę to naturalnie sam Grabowski i w dalszym ciągu mówi już o poezji jako o potędze kreacyjnej, tą zasadniczą cechą odróżniając jej utwory od dzieł „literatury pięknej“; poezya jest sama sobie celem, gdy literatura piękna ma na celu zabawę. „Literatura“ w ogóle jest to „cywilizacja wyrażona przez słowo“. A jak cywilizacja „nie jest to sam przez się ani stan polityczny narodu, ani jego bogactwo handlowe, ani organizacja prawodawcza, ani ruch przemysłowy, ale razem to wszystko i wszystko inne pośrednio lub bezpośrednio wpływające na wiek lub naród“; to też i literatura „nie jest toż samo co ta lub owa nauka kwitnąca w danym miejscu i czasie, nie jest to żadna szczegółowa umiejętność, lubo, stosownie do niej częstokroć się modyfikuje; nie jest to żadne wyobrażenie moralne, lubo opiewają a musi przejąć ton i barwę;—ale jest to rezultat wszystkich gatunków wiedzy, wypadków ich prac pojedynczych, zebranie się skutków moralnych“. Literatura może być tylko narodową; literatura „powszechna“, „uniwersalna“ jest pojęciem niedorzecznem. Przyczyna tego jasna: odkąd tylko znane są nam dzieje, a ród ludzki nie składał nigdy całości, a zawsze połączony był w towarzystwa większe i mniejsze, w których przetrwał różne peryody bytu oddzielnie, rozwijał się osobno, jednym słowem żył indywidualnie“ jako szereg narodów; a zatem i literatura musi mieć tę indywidualną, narodową cechę. O takiej literaturze, któraby bez cech narodowych, wypowiedziała myśli i uczucia całej ludzkości Grabowski nie marzy, nie wspomina jej nawet, gdyż dla niego literatura, pozbawiona indywidualności narodowej, jest to „cień,

ułudzenie, nic“. Ale mówiąc o literaturze narodowej, nie zacieśnia Grabowski, na podobieństwo Goszczyńskiego, jej szranek przez wyłączenie żywiołu jednostkowego, owszem uwzględniła go wyraźnie, mówiąc, że „każdy z członków narodu może wyrażać siebie, a to zbiorowie lub reprezentacyjnie, wyraża także i naród“.

„Literatura piękna“ jest niższym stopniem poezji, brak jej siły twórczej; czyni ona zadość potrzebie „uciech intelektualnych“ i wzrasta z wzrostem cywilizacji. „Różniąc się od wszystkich gatunków wiedzy ludzkiej tem, że nie miała żadnego innego zadania tylko zabawę i przyjemność umysłu, najbliższej stanęła ona poezji i lubo nie mając ani jej wysokiego natchnienia, ani szlachetnego źródła, nie mogła nią być, nią się jednak z wielu pozorów, izdawała. Niedziw więc, że w epokach, gdzie jakie przeszkody tępowały rozwijanie się poezji, i nawet prawdziwe o niej rozumienie zmieniały (np. wiek XVII i XXIII), ona powszechnie za nią uchodziła i w jej imię gorliwie uprawiana była. Państwo takowej literatury odkrywa się nam rozległe i nie najmniej zajmujące władze umysłu ludzkiego. Na czele jego stoją dzieła pełne zalety do niego trzeba podobno przyłączyć całe pokolenia poetów i literatów; do niego i my możemy odesłać niejednego krajowego pisarza, którego w ostatnich czasach odsądziwszy od zaszczytów poezji, nie wiedzianno gdzie podziąć, a któremu się wszelkiej sprawiedliwości nie ubliży, tam odsyłając dla wzięcia miejsca stosownie do zasługi“. Literatura piękna, jako pozbawiona pierwiastku twórczego, zbliża się do rzemiosła. „Poemat Odyńca jest względem poematu Bohdana Zaleskiego jak robota pokojowego malarza do fresków Rafaela.“

Poezję narodową nazywał już wtedy Grabowski „historyczną“, powiadając, że Walter Scott „natrafił na najszczęśliwszy rodzaj poezji naszego wieku“, pragnącej „zbliżyć do oczu naszych miejscowe fenomena bytu, wynieść na jaw historję domową i odbić w zwierciadle sztuki wszystkie *dziedziczne* myśli, uczucia i wspomnienia, na których się wywija indywidualność bytu narodowego“. Ale jeszcze wówczas nie nadawał pierwiastkowi historycznemu stanowiska naczelnego, jak później, jeszcze równoważył go pierwiastkiem chwili bieżącej, najnowsze zabytki cywilizacyjne. Powiadał, bowiem że poezya europejska pragnie wyrazić w kreacjach sztuki *najtajemniejszy swój żywot elementarny, całą skrytość swojego indywidualium*, przeszłość, ród, edukacyę historyczną, jednym słowem narodowość czyli narodowości swoje“.

Od chwili napisania rozprawy „O poezji XIX wieku“ do chwili jej ogłoszenia upłynęło lat sześć. W przeciągu tego czasu poglądy Grabowskiego uległy pewnej zmianie. Utwory liwych talentów, tworzących w imię swobody romantycznej, razili smak jego, zaczął nieco żalować ścieśniających prawideł klasycyzmu, powiadając, że „w miejsce rozsądnej anarchii zdobyliśmy anarchię“, pragnął przejść ze „stanu rewolucyjnego emancypacji do stanu organizacyjnego“. Czas porzucić—wołał (w II-jej części „Literatury i Krytyki) — wstręt przeciw wszelkim teoretycznym prawidłom, a przynależ, że jeżeli teorie *bywały* fałszywe, jeżeli przepisy były nieraz niewłaściwe, nie dowodzi to bynajmniej że *niema* żadnych ogólnych praw ani prawideł poetycznej kompozycji... Prawidła sztuki są to rezultaty wyrozumowanych wnioskowań z niej. W wiekach klasycyzmu jest przynajmniej ta korzyść, że zacytowaniem znanego prawidła oszczędza się mozołu wywodzić długi ciąg rozumowań, którego to prawidło jest wpływem... Widok arcydzieł teraźniejszego geniuszu, tak w bród używającego swobody, mógłby przekonać, że nie zawadziłaby mu poręcz prawidła uświęconego powszechnem zezwoleniem. Dawne przepisy może w rzeczy samej przystać nam dzisiaj nie mogą; według więc nowego widoku rzeczy, według rozszerzonych pojęć i wiadomości, wypadałoby przezuć dawne prawidła, zgłębić naturę sztuki, zbadać jej prawa i wyrozumowane stąd wnioski uznać za nowe nowej sztuki prawidła... Może być także, że odrzu-

ciwszy niejedno z tego, w co dawniej wierzone, pogodzilibyśmy się także z niejednym". Prawidła dla poety winny być tem samym, czem nauka rysunku, prawa perspektywy i światłocienia dla malarza; „kompozycya Rafaela i Michała Anioła, bez zachowania tych prostych reguł, byłaby bazgraniną malarza karczemnych okiennic"... Grabowski wyznaje, że poetyczna kompozycya podobno wyczerpała dotąd wszystkie możliwe kombinacje; trudno sobie pochwilić, że możemy stworzyć nowy gatunek poezji dotąd nieznaney; możemy różne gatunki mieszać, krzywić, lecz trudno będzie coś zupełnie nowego stworzyć".

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZY KOMINKU.

(POGAWĘDKA).

Gdy szanowne czytelniczki moje, wezmą dzisiejszą pogawędkę do rąk swoich, już będzie—po końcu świata. Zapowiedziana przez Falbą kometa lotem błyskawicy przeleci przez ziemię i—wielkiej nie wyrządzi nam przykrości, ani nas burze zmiotą, ani deszcze zaleją, ani grad gwiazd zasypie—wszystko pójdzie naprzód torem zwyczajnym, nie nie zmieni nużącej prawidłowości życia, ani ujmie trosk i kłopotów, ani też szczęścia przysporzy.

Wiesz jednak o dniu fatalnym 13-go listopada, rozbiegła się szeroko po świecie i niektóre zaniepokoiła umysły. Oczywiście, że gmin ciemny największą wiarę dał tej bajce, to też według otrzymanych wiadomości z różnych stron kraju naszego, rozmaicie się przygotowują do tej katastrofy: jedni napełniają kościoły, modlą się i spowiadają, inni piją na umór. Zdarzają się jednak i pomiędzy ogółem inteligentnym jednostki, które na pół wierzą, na pół nie wierzą zbliżającej się katastrofie. Wstydzą się może wręcz przyznać się do obawy, napomykają jednak półgębkiem o możności jakiegoś kataklizmu.

„Koniec świata, jak koniec świata—powiadają—ale kto wie, czy lotna massa komety nie niesie z sobą jakich kamieni? a kto wie czy te kamienie są wielkości grochu, czy wielkości kamienic warszawskich? Zawsze może być coś, co nieprzyjemną sensacyę sprawić może i szkodę na zdrowiu wyrządzić.“

Tak czy siak jest postrach maleńki, które nie tylko w trwożnych półsłówkach się przejawia, ale i w czynach pewnych.

Oto, mieszkanka wsi, pani X... której córka jest na pensyi w Warszawie, na czas spodziewanej katastrofy przyjechała do Warszawy i wzięła do siebie córkę, ażeby dzień fatalny razem z nią przeżyć. Inny znów, właściciel ziemski, niemający nikogo z bliskich w mieście naszym, przyjechał do Warszawy wraz z całą rodziną, mówiąc, że jakoś mu wesołej w rojowisku miejskiem oczekiwać końca świata, aniżeli na wsi pomiędzy wołami, krowami i parobkami.

Bądź co bądź, koniec świata zaniepokoił trochę umysły, polityka nawet na bok poszła i daje się widzieć pewna oziębłość w stosunku do Transwaalczyków.

Charakterystycznymi jednakże są niektóre powody obawy przed katastrofą.

— Pan się nie lęka?—zapytała mnie niedawno jedna z pań, pokrywając żartobliwym uśmiechem twogę rzuconego pytania.

— Nie, pani.

— Zapewne! trudno wierzyć, ażeby rzeczywistość już koniec świata nastąpił. Jednakże—dodała, jakby z wahaniem się—nie wiemy dnia, ani godziny...

— Nie dla tego, pani, nie lękam się, że nie wierzę w koniec świata, ale choćbym najsilniej

wierzył, nieobym znów tak strasznego w tej katastrofie nie widział.

— W końcu świata?!...

— Tak, pani.

— W zetknięciu się strasznego potworu z ziemią?!

— Błysk—chwila... i—Albo nas niema zupełnie, albo na innym, może lepszym obudzilibyśmy się świecie. I co tu strasznego?

— Dobrze to, panu mówić—prawił jakiś gruby jegomość—panu, który, jak widzę, nie zbyt wiele węzłów w życiu ziemskim masz zadzierżgniętych.

— A pan?—spytałem.

— Zaledwie rozgospodarowałem się w świeżo nabytym majątku i dyabli wiać mnie mają?—Dziękuję!—Ogromne pieniądze włożyłem na zarybienie stawów, pewną zaś sumę odłożyłem na przyszłoroczny wyjazd na wystawę paryżką.

— Ja także na wystawę z moją Lilą wybierałam się—odezwała się pani M., z którą rozmowę zacząłem. Chciałabym ażeby córka moja, choć trochę zobaczyła świata.

— Ja równie nie życzyłbym tak szybko przenieść się *ad patres*—rzekł pewien młodzieniec.—Nie skorzystałem jeszcze z darów życia, nie znalazłem uciech jego—mam zresztą pewne plany...

— Jakie?—podchwyciłem.

— Ko-cham się—dodał z przyciskiem.

Rozmowa zaczęta na pół żartem, stawała się coraz poważniejszą, coraz więcej przybywało głosów i żalów za życiem, jak gdyby lada chwila straszliwa różga komety miała na zawsze zmieść nas z tej ziemi. I dziwne! jedni żalowali życia, że nie będą mogli zbierać spodziewanych plonów ze stawów zarybionych; inni, że zostaną obrócone w niwecz projekty zabaw, z którymi od lat już kilku żyli się; inni znów, że nie zaznali zupełnie uciech życia—rozkoszy miłosnej... Żaden nie odezwał się głos: „katastrofa przerwałaby mi pracę, którą podjąłem dla dobra społeczeństwa.“

Mówili szczerze.

Przed strachem spodziewanego przewrotu, w który wierzone czy na pół wierzone—zdjęto zupełnie maskę z duchowego oblicza swego i okazała się małość pragnień, ogromny poziom myśli, nieosłonięte niczem samolubstwo.

Nie lękaj się, szanowny obywatelu, ziemia jeszcze długo stać będzie i da ci możność nacieszenia się zarybionymi stawami; nie trwóż się, pani! jeżeli masz piękną córkę, będzie mogła palmę pierwszeństwa zdobyć na *Sali Tańców*, podczas wystawy Paryskiej; nie obawiaj się młodzieńcze zakochany, do przesyty jeszcze użyjesz uciech tego świata. Gdyby jednak niespodziany pocisk jaki wyrzucił was gdzieś aż w gwiazd granice—nicby na tem ludzkość nie straciła, ani ta, szeroka, o której z książek tylko wiecie, ani ta, węższa, z którą codziennie się stykacie.

Wojna transwaalska, zwycięstwa boerów, ta walka Dawida z Goliatem, ma widocznie bohaterki urok jakiś i spokojnie spać nie pozwala umysłom awanturniczym. Codziennie czytamy w dziennikach o wyprawach wyrostków na południe Czarnego kontynentu, wyprawach zakończonych prawie zawsze pochwytem młodych rycerzy albo w lasach wilanowskich, albo—na granicy Królestwa. Bywały jednak, śmielsze i dalsze ekskursye, bo pewna paczka młodych awanturników dotarła aż do Odessy i tam ją dopiero, oczekującą na okręt do Konstantynopola płynącą, pochwycono, nie w całości jednakże. Czy pozostali dostaną się do celu przeznaczenia, nie wiadomo.

Kiedy na chwilę oderwaliśmy uwagę naszą od spraw bieżących Warszawy, o których nic prawie nowego powiedzieć nie można—przerzucmy się z Afryki do innej części świata—do Brazylii, do której jak do ziemi obiecanej dążą wychodzące z różnych ziem polskich, szukając drugiej ojczyzny dla siebie.

Co tam znajdują?

Posłuchajmy co mówią gazety:

„Wychodzący galicyjscy z Ameryki powracają tłumnie. Siedm rodzin emigrantów przybyło do krakowskiej dyrekcji policyi, prosząc o wyrobienie biletów kolejowych do powiatów,

z których pochodzą. Wychodzący wracają z Sant-Paolo w Brazylii, gdzie początkowo zajmowali się uprawą roli dla siebie, następnie zaś pracowali w Plantacyach kawy. Ciężką pracą, o jakiej nie mieli nawet pojęcia w kraju rodzinnym, zdołali sobie biedni ludzie zapracować za ledwie tyle, że kupili bilet okrętowy, ażeby się dostać do Europy. Stanąwszy na kontynencie, o żebraczym chlebie przyjechali do Krakowa. Nieszczęśliwi, płacząc, opowiadają o nędzy i strasznych przejściach swoich w Ameryce. Klimat ich zabijał, praca trawiła, wycieńczała i sił pozbawiała; nawet wielkie stosunkowo przestrzenie ziemi nie mogły wyżywić, gdyż ziemia w tych okolicach, gdzie im jej udzielono była kamienista i nieurodzajna. Z kolonistami obchodzono się w Ameryce nie po ludzku i wyszukiwano ich dopóki coś posiadali. Wszyscy, powracający z Brazylii, byli dawniej zamożnymi stosunkowo zagrodnikami, a dziś wracają podupadli na siłach i na zdrowiu.“

Gdzież więc jest szczęście?

„Za górami!“

Przebyto i te góry, a ono za morza się przeniosło i roztopiło się w przestrzenie.

W pogawędce z tygodnia ubiegłego, jeżeli nas pamięć nie myli—poświęciliśmy dość sporo miejsca sprawie niesienia pomocy uczącej się młodzieży naszej. Wzywaliśmy ogół do czynu doraźnego, bo poruszona sprawa jest pierwszorzędnej wagi i nie może się opierać na ofiarności jednostek, które, mimo najszczerzych chęci, z posad ziemi nie poruszają. Czyny wielkie doniosłe i trwałe muszą się zbiorowemi siłami dokonywać—taka praca tylko obfity plon przynieść może.

Wiemy, że ogół nasz rozumie znaczenie tej pomocy dla młodzieży uczącej się; wiemy, że w swartym szeregu do pożytecznego dzieła stanąłby—brak tylko dotąd było instytucji, która by się zajęła przyjęciem tych ofiar i sumieniem ich rozdawnictwem. Redakcyje pism, przyjmujące składki, nie mogły oczywiście zadość wszystkim wymaganiom uczynić—tu potrzeba pewnego Towarzystwa, którego ustawy byłyby zagwarantowane przez władze, które byłoby instytucyą czynną i stało na widowni tej części potrzeb społecznych. Otóż miło jest nam podzielić się z czytelnikami „Bluszczu“ wiadomością, która ciężar wielki z piersi naszych zrzuca. Wiadomość tą wyczytaliśmy w „Kuryerze Codz.“ a oto jej brzmienie:

„Ustawa żadnego stowarzyszenia nie wywołała tyle głosów w prasie naszej ile *ustawa Towarzystwa pomocy uczących się*.“

Brak dotąd zorganizowanej należycie pomocy dla kształcącej się młodzieży i rosnące z rokiem każdym szeregi niezamożnych uczniów, pobudzały ludzi dobrej woli do szukania sposobów przyjscia im z pomocą. Gdy w r. 1895 wydana została normalna ustawa dla tego rodzaju towarzystw, grono osób wniosło podanie o zatwierdzenie ustawy dla zakładów naukowych w Warszawie. Prośba ta jednak w ówczas uwzględnioną nie była.

Następnie w r. 1897 po wydaniu nowej ustawy normalnej, redaktor „Kur. Codz.“ p. Stanisław Libeckie wniósł do J. O. księcia Imeretyńskiego podanie podpisane przez kilkanaście osób, o zatwierdzenie ustawy Towarzystwa pomocy dla uczniów II, III i IV gimnazyów męzkich w Warszawie.

Zatwierdzenie tej ustawy natrafiło na przeszkody natury formalnej, ponieważ nadto władza uznała za konieczne zmianę czterech paragrafów ustawy normalnej przy zastosowaniu jej do naszego kraju, rzecz ta wpłynęła na odroczenie utworzenia w Warszawie i w innych miastach naszego kraju wyższego Towarzystwa.

Porozumienie się w tej kwestyi J. O. księcia Imeretyńskiego, który uznawał pożyteczność zakładania tego rodzaju towarzystw, z ministrami spraw wewnętrznych i oświaty, już nastąpiło.

Obecnie redaktor „Kuryera Codziennego“ otrzymał w kancelaryi p. Generał-Gubernatora

pod datą 18 Października r. b. za Nr. 1617 zawiadomienie, że projektowane Towarzystwo, rozwijając swą działalność w kierunku niesienia pomocy tym uczniom trzech gimnazyów, postawiłoby te zakłady w warunkach lepszych, aniżeli pozostałe, a to znowu wywołałoby dążenia do utworzenia nowego Towarzystwa pomocy dla uczniów pozostałych gimnazyów, co nie jest pożądanem, przeto p. o. General-Gubernatora r. t. Podgorodnikow powstrzymał się od zatwierdzenia ustawy, wyrażając zarazem, że nie znalazłby przeszkód do zatwierdzenia ustawy Towarzystwa, któreby obejmowało wszystkie gimnazya warszawskie, z wyjątkiem pierwszego.

W odpowiedzi na to zawiadomienie redaktor Libicki po porozumieniu się z osobami podpisanymi na poprzedniej prośbie, wniósł ponownie podanie, w którym oświadcza, iż inicjatorzy zgadzają się na rozszerzenie działalności Towarzystwa na wszystkie, (z wyjątkiem I-go) gimnazya męskie w Warszawie.

Tak tedy pożądane od tak dawna Towarzystwo utworzonym zostanie i paląca kwestya pomocy dla uczacej się młodzieży, rozstrzygnięta będzie.

— A co tam o gęsiach słyca?

— O jakich gęsiach?

— No juści nie o tych, których przeznaczeniem było Rzym zbawić—ale o naszych, szarych gąskach, które, czyniąc zadość tradycyi, głowy swoje w dniu Ś. Marcina, pod nóż rzeźniczy oddały!..

Jestem zwolennikiem tradycyi wszelkich, bo one są nicią wiążącą terażniejszość z przeszłością, mimo to jednak o dniu świętego Marcina zapominam zawsze i temu zapomnieniu niejedna głowa gęsia ocalenie swoje zawdzięcza.

Zdaje się, że doświadczenie mówi: że, jeżeli w dniu tym piersiowa kość gęsi świeci białością—to zima będzie śnieżna i mroźna, jeżeli zaś jest granatową to będzie łagodną. W wielu wypadkach lubię łagodność, ale z łagodną zimą pogodzić się nie umiem. Łagodność zresztą prawie zawsze ze ślamazarnością graniczy—zima zaś ślamazarna jest prawdziwym nieszczęściem. Całun śnieżny nie pokrywa przestrzeni, która zamiast świecić rozpryskanymi brylantami skrzypiącego mrozu, patrzy jakąś szarością smutną, nawiewając przygnębienie i smutek. Piers ludzka przez czas długi, oddychając zepsutem powietrzem miejskiem, pragnie zimy przedniej, jędrnej, lecz nie tej, która jest tylko przedłużeniem brzydkiej jesieni. Nie zapytywałem dotąd gospodyni żadnej, jak tam gęsie wróżby wypadły, czy w świat szeregi pojedziemy kuligiem wesołym, przy dźwiękach skrzypiec i basetli—czy, brodzić będziemy po blocku miejskiem, mrużąc pod nosem:

Nie tak in illo tempore bywało!

??

ZASŁYSZANE.

Boże mój, Boże, co ze mną będzie?

Co się z mem sercem stało,
Że mu tak smutno i tęskno wszędzie.

Jakby już zamrzeć miało?

Achl tak niedawno—myśleć boleśnie

I błogo myśleć muszę:

Biały twój Anioł zszedł do mnie we śnie

I wyjął z ciała duszę.

Długo w nią patrzył i wzrokiem palił

I znowu włożył w ciało...

Jam szczęście śniła, on się oddalił—

Co się z mem sercem działo!

Pobiegłam za nim, on płynął dalej,

Aż się roztopił w słońcu.

A ja szeptałam sercu: „Oszalej!”

I oszalało w końcu.

I popłynęły wdal bezpowrotną

Snów moich złote fale,

I zostawiły duszę samotną

Na smutki i na żale.

I zostawiły łez w oczach rosę,

Tęsknoty rzewnej morze — —

Gdy od łez umrę, lzy te zaniosę

Na twoje gwiazdy, Boże!

I spytasz twych duchów: zkad krople owe?

Gwiazdy-ż to moje płaczą?

Nocą błękitne, we dnie różowe,

Co owe krople znaczą?..

I trwozę rzucisz w twem niebie wszędzie,

Pytając duchów: Kto wie?

Achl! jeden tylko z nich, wiedzieć będzie,

Lecz on ci nic nie powie..

Mieczysław Głiński.

BEZ DUSZY

POWIEŚĆ

przez

Gecylję Walewską.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Cichy szelest zbudził ją. Otworzywszy senne powieki, spostrzegła wyraźnie sylwetki trzech kobiet, które zniknęły we drzwiach nagle.

Kto to był? Co mogli znaczyć ci ranni goście?

Już miała podnieść się, zadzwonił na służącą, spytała, jakim prawem ktoś nieznajomy ośmielił się wejść do niej podczas jej snu, gdy wtem, powiódłszy wzrokiem dokoła siebie, spostrzegła na rękach i włosach swoich pęki kwiatów.

Obrzucono ją niemi. Na atlasach kołdry, na gipiurze firanek, na koronkach poduszek, wszędzie drgały gałązki róż, pęki konwalii i stokrotek.

Co to znaczyło?

Jeszcze nie zdołała otrząsnąć się z pierwszego zdumienia, gdy w tem wzrok jej uderzyła napisana ołówkiem i rzucona na brzeg kołdry kartka:

„Pani!

„Chciałyśmy cię zobaczyć śpiącą i przemocą prawie wdarłyśmy się do ciebie. Wina ciąży na nas jedynie: służąca dzielnie broniła wejścia i przykroby nam było, gdyby gniew „królowej“ miał spaść na nią.

„Jesteś równie śliczną we śnie, jak i na jawie. Trochę kwiatów, któremi obsypałyśmy cię, niech zaświadczy o naszym uwielbieniu.

Nieznajome.“

W miarę czytania listu coraz pogodniejszy uśmiech rozjaśniał twarz Nuny.

Takich tryumfów nie zbierała jeszcze nigdy. Kobiety składały jej hołd, kobiety, trujące ją dotychczasą jadem zazdrości.

Rzuciła zapisaną ołówkiem kartkę, która z cichym szelestem osunęła się na ziemię; ująwszy natomiast gałązkę róży, podniosła ją do ust,

przymrużyła oczy i leżała spokojnie, jak gdyby sen na nowo skleił jej powieki.

W uszach czuła jeszcze rytmy wczorajszej muzyki tanecznej; w głowie wirował szmer ostatniego kotyliona.

Było jej dobrze; czuła się upojoną. Ah! Gdyby życie mogło być zawsze takie, jakim był dzień wczorajszy!

Śliczna! Wyraz ten, niby zaczarowaną zwrotkę, słyszała wciąż dokoła siebie: budził słodką wibrację, odurzał, napawał radością...

Nie było mężczyzny, któryby nie patrzył na nią z zachwytem, królowała, jak nigdy jeszcze... Czyżby uroda jej wzmogła się w ciągu tych lat paru, które spędziła ze starym, znienawidzonym mężem?

Wyjąwszy z pod poduszki niewielkie, w srebro oprawne lustro, z którym nie rozłączała się nigdy, zaczęła w nie patrzeć.

Na alabastrowej cerze jej twarzy, mimo nie spanej nocy nie znać było śladu najłżejszego zmęczenia.

Uśmiechnęła się z wyrazem upojenia.

Była piękną, o, tak! Podziwiano ją, uwielbiano.

Coby powiedział pierwszy jej mąż, widząc ją taką otoczoną? Nie poznałby jej; nie wierzyłby, że umie tak korzystać z życia.

Ciemno szafirowe, mocno podkrążone oczy Feliksa poruszyły się przed nią naraz, jak gdyby je kto na cienkim sznureczku pod powiekami jej przeciągnął.

Feliks, ten cichy, mimo swojej stanowczości, i dobry Feliks, który patrzył na nią, jak na święty obrazek i bał się męczyć ją pieścotami swemi. Oh, jak on ją kochał! Zemdlął, gdy powiedziała mu, że opuszcza go dla... starego Zarzeckiego.

Pamięta tę chwilę, jak gdyby minęła wczoraj. Leżał, jak martwy, dzieci płakały, a jej ani jedna łza nie spadła z oczów.

— Bez duszy!—syknęła wówczas, patrząc na nią, bona sześćioletniej Heli i ośmioletniego Jerzyka.

Tak, musiała nie mieć duszy: powtarzali jej to wszyscy.

Serce jej ścisnęło się wprawdzie, gdy żegnała dzieci i przyrzekła Feliksowi, że nie odbierze ich nigdy, nie płakała jednak: nie umiała płakać...

Czy byłaby tak ładną, gdyby troski jej i udręczenia przejawiały się na zewnątrz?

Ostatni raz podniosła lustro do oczów, przysłądziła brwi, zdrapała końcem palca drobny jakiś przyszczyk, poczem, spojrzawszy na zegarek, wstała szybko.

Była już blisko pierwsza w południe. Za chwilę miał nadejść ojciec.

Ojciec. Skrzywiła się nieznacznie.

Sarkazm i ironia jego stanowiły jedyny ciemny punkt na jasnym tle terażniejszego jej życia.

Dobry niegdyś dla niej, od chwili narzeczeństwa jej z Zarzeckim stał się niemożliwy w stosunkach.

— Wilczyca dla żeru nie rzuciłaby szczeniąt swoich, a ty... ty... dla majątku, dla blichtru wyrzekasz się najświętszych obowiązków. Wyrodna matko... Przyjdzie kara na ciebie: Zapa miętaj to sobie... powiedział jej, gdy, ucieklszy od Feliksa, stanęła przed nim, prosząc, by wziął ją do siebie na czas prowadzenia rozwodowego procesu.

Odtąd bywały chwile, iż nienawidził ją.

Każde spotkane dziecko przypominało mu wnuczęta.

Odwiedzał je wprawdzie w domu ojca, za każdą bytnością u Feliksa wszakże wracał bardziej posępny, niż przedtem.

Kamieniem na sercu ciążyła mu sieroca ich dola. W kilku gwałtownych scenach żądał, by Nuna zerwała z Zarzeckim i wróciła do dzieci Feliksa wszakże nie chciał słuchać o pogodzeniu się z żoną.

— Niech szuka szczęścia, gdzie je widzi dla siebie—powtarzał, głuchy na prośby i tłumaczenia Brzozowskiego.

Ten ostatni przestał wreszcie nalegać. Widząc, iż los dzieci inaczej ułożyć się nie da, wy-

mówił sobie tylko prawo odwiedzania ich, jakkolwiek widok opuszczonego drobiazgu krwa-
wil mu serce.

Oddany zawodowej pedagogicznej pracy, u córki, po powrotnym jej zamążpójściu bywał rzadko, jeżeli zaś przyszedł, to sarkazmem swym i ironią burzył w niej krew apatyczną.

Jak się stało, że pojechał z nią nad morze?— sam dobrze nie wiedział.

Zarzecki zaczął błagać, zaklinać.

— To dla jej zdrowia... widzisz... doktorzy kazali... ja sam nie mogę towarzyszyć jej... zastępca mój chory... tłumaczył prezes, nie dając mu spokoju, napastując go codzien.

Zgodził się wreszcie.

— Jechać mogę, ale tylko, jako *firma* opieki. Za czyny jej nie odpowiadam—rzekł po długim namyśle.

Zarzecki poklepał go po ramieniu, nazwał "starym dziwakiem" i... powierzył mu żonę.

Zrazu Nuna sądziła, iż ujmie sobie ojca nie zwracaniem uwagi na ostre jego przymówki; niechęć Brzozowskiego do niej rosła wszakże z każdym dniem, aż nareszcie wszczęła się między nimi głucha walka na słowa, milnąca przy ludziach jedynie.

— Czego on chce odemnie? Myślała w tej chwili Nuna. Przecież dotychczas jeszcze nie zrobiłam nic takiego, czem mogłabym wywołać niezadowolenie najpobożniejszego kwakra, a że pozwałam uwielbiać się, to chyba niema w tem nic złego... Artyści i poeci zachwycają świat talentem swoim; mnie, zamiast talentu, daną została uroda; cóż w tem nadzwyczajnego, iż chcą, by ją podziwiano?

Skrzywienie na myśl o nieporozumieniach z ojcem przeszło jednak nagle. Otrząsnęła się i przybrała pogodny wyraz twarzy.

Po co zastanawiać się nad przykreimi rzeczami?—pomyślała. Czekal ją dzień pełen wrażeń; czekały nowe tryumfy, nowe hołdy...

Zadzwoiła na służącą i, zarzuciwszy na siebie ranny szlafroczek, kazała rozczesać splecione po wczorajszej zabawie włosy. Siedząc przed zwierciadłem, uśmiechała się sama do siebie i powtarzała w myśli: „śliczna, śliczna!“ gdy wtem z sąsiedniego pokoju doleciał odgłos ciężkich męskich kroków i w uchylonych drzwiach ukazał się Brzozowski.

Na wesole „dzień dobry!“ córki odpowiedział chmurnym skinieniem głowy; podszedłszy zaś bliżej, położył przed nią na konsoli list nie rozpieczętowany.

— Od Waława? — spytała, marszcząc brwi.

— Może zechcesz przekonać się sama — brzmiała odpowiedź.

Ociągając się, leniwie otworzyła kopertę i, rzuciwszy okiem na wyjęty z niej arkusik, odłożyła go na bok.

— Nic ciekawego — rzekła, zwracając się do ojca. Siedzi w swoim prezydyalnym fotelu, podpisuje papiery, czeka naszego powrotu...

— I myśli o rozkoszach małżeńskich, jakie mu zgotujesz... Godnie przysposobiasz się do nich. Słyszałem, że masz już cały szereg nowych zabaw przed sobą. Chciałem zwrócić ci uwagę...

— Umówiliśmy się najwyraźniej przed wyjazdem, że będę miała zostawioną wszelką swobodę. Upprzedzam ojca, że od umowy tej na krok jeden nie odstąpię; jeżeli mamy żyć w zgodzie.

Brzozowski zmarszczył brwi i przygryzł wargi.

— Co robisz dzisiaj? — przerwał ponuro.

— Idę razem z tobą na śniadanie, gdzie czekają już na nas: Baden, Pschütt i francuz. Po śniadaniu mamy wstąpić do jakiegoś wędrownego muzeum, gdzie przytem odbywają się przedstawienia z kinematografem nie widziałam tego jeszcze nigdy; podobno bardzo ciekawe; zajmie i ciebie. Następnie, obiad: przyrzekłam spożyć go w towarzystwie kilku wczorajszych znajomych. Później kilka zapowiedzianych wizyt w domu, przejażdżka łódką, spacer nad morzem; wieczorem koncert jakiejś słynnej śpiewaczki, która prosiła mnie osobiście, by być na nim; później zapewne kolacja, w czasie której ty zaśniesz, jak wczoraj, no, a wreszcie koło 1-ej lub 2-ej w nocy słodki spoczynek.

— I takie życie myślisz prowadzić przez cały czas pobytu tutaj dla... zdrowia, ten powód bowiem podałaś głównie, napałszy się wyjazdu do morza.

— Nie wiem, zobaczymy. Przypominasz sobie chyba z dawnych czasów, ojcze, że ja nigdy nie jestem w stanie przewidzieć tego, co zrobię. Zależy to od mego usposobienia. W tej chwili chcę się bawić i nic mnie od tego nie odciągnie, nawet ponure twoje spojrzenie pastora, którego kazań nie chcę słuchać owieczki...

— Baw się, pamiętaj tylko...

— Że powinnaś szanować nazwisko swoje; że masz córkę, na przyszłości której może odbić się każdy twój krok lekkomyślny; że jesteś w wieku, w którym kobieta powinna przestać myśleć o flircie, a zdobyć się na takt i powagę; że... że... No, już nie chce mi się wyliczać wszystkiego, co byś mi powiedział, mój ojcze, gdybym cię dopuściła do słowa, w tej chwili jednak nie mam ochoty na dłuższe rozprawy... Jestem już gotowa: czy idziesz ze mną na śniadanie, a potem na ów kinematograf?

Brzozowski zmarszczył brwi i nie odpowiedział nic na razie.

Co u licha? Własne dziecko mówi do niego, jak gdyby mu łaskę robiło, że raczy być w jego towarzystwie? A kto właściwie komu wyświadczył przysługę? Czy nie na największe zakłęcia Zarzeckiego dopiero zgodził się tu przyjechać? Co byłoby się stało, gdyby był odmówił? Musiałaby zostać: prezes z nikim, prócz z nim, nie decydował się jej wysłać... Kto od kogo zależy? Kto komu okazał dobrodziejstwo?

Miał chęć trzasnąć drzwiami, zbież na dół na wybrzeże i, jak stał, sięść na okręt, który w tej chwili dobijał do portu, by odejść za godzinę. Niech zostanie sama, kiedy przybiera w obec niego ton udzielnej królowej; niech bawi się; niech pełną piersią używa swobody! Zobaczmy, jak długo pozwoli jej korzystać z tej wolności prezes?

Już podniósł się; już doszedł prawie do progu samego, gdy wtem zawrócił.

Nie można było robić skandalu. Kto wie, co za plotki krążyłyby nazajutrz, gdyby odjechał tak nagle, bez wyraźnego powodu od córki. Bądź co bądź, odpowiadał za jej opinię. Trzeba było zostać, skoro podjął się opieki, trzeba było nadal patrzeć przez szpary na postępowanie tej kochającej, czulej matki, która bawiła się w najlepsze, gdy dzieci jej przechodziły z rąk do rąk przygodnych opiekunów.

Zły, nachmurzony, zwiesił głowę na piersi.

Sam w części był winien jej niesforności; sam szorstkiem swem obejściem pobudzał ją do ciągłego buntu. Czuł, że postępował źle, że trzeba było zdobyć się na łagodny spokój, nie mógł jednak: burzyła się w nim krew na widok jej lekkomyślności.

Czyż ona nie pokocha już nic i nikogo? Na czem skończą się jej kaprysy i zachcianki bezduszne?

Ciężko doświadczył go los, dając mu takie dziecko.

Podobna do matki swej bez serca, ona, złamała już los tyłu istotom! A ile jeszcze zgnębi bezpowrotnie! Ani jednej chwili nie można było być o nią spokojnym; trudno było przeczuć, co zrobi, jakie nowe burze ściągnie na głowy tych, co z nią obcowali? Samolubna, zła, pozabawiona uczucia, nie liczyła się z nikim i z niczem, dążąc do własnego szczęścia, a stworzyć go sobie nie umiała.

Oh!..

Mimowolne westchnienie wydarło się z piersi Brzozowskiego.

Nuna spojrzała nań z ukosa.

— No, jakżeż, ojcze, idziemy wreszcie?—zapytała, trącając go w ramię.

Wstał i, pochylony, jak gdyby mu w ciągu tych paru tygodni, jakie spędził z córką, przybyło lat kilka, podał jej ramię.

— A więc na śniadanie teraz?—spytała, siłąc się na swobodę w obec ojca, który — wiedziała o tem—sądził ją i krytykował myślą w tej chwili ostro.

Ruszył ramionami.

— Prowadź mię, dokąd zechcesz... wszystko mi już jedno—odparł ponuro.

V.

Wyciągnięta na miękkiej kanapie, Nuna drzemiała lekko. Pod powiekami jej wirowały oglądane przed chwilą obrazy kinematografu, drgające, szybkie, ruchliwe, jakby połamane: jakaś dziewczyna z kwiatem w ręku, potem wymarsz wojska, pociąg nadjeżdżający i ruch pasażerów, wreszcie skoki z trapezu do wielkiego kąpielowego basenu, w którym, jak rekiny, pływały się setki kąpielących.

Sen morzył ją na dobre; obrazy coraz słabiej błędziły pod powiekami, płacząc się w bezładne, chaotyczne majaki. Zasnęła wreszcie i prześpała godzinę, może dłużej, gdy wtem zbudziło ją nieśmiałe stukanie do drzwi, a następnie lekkie uchylenie ich. Fanny, służąca jej, czerstwa, młoda holenderka, wszedłszy cicho na palcach, pokazała zdaleka długi a wązki bilet wizytowy, mówiąc, iż jakiś pan czeka w ogrodzie i pyta, czy może zostać przyjętym?

Daj bilet.

Jerzy Norden!—przezwiała Nuna zamglonemi ze snu oczyma i wytrząwiała natychmiast.

Co znaczy ta wizyta? Czego chce od niej ten „wielki malarz“, zdradzający naraz incognito swoje? Czyżby pragnął przeprosić ją za wczorajszą niegrzeczność?

Ależ widziała go przed dwiema godzinami w restauracyi; siedział przy sąsiednim stolku i lekkim zaledwie ukłonem powitał ją, niczem nie zdradzając, iż radby zbliżyć się; patrzył na nią tylko natarczywie, jak zwykle: dziwny, dziwny człowiek!

A jednak... jaki on dobry, że przychodzi do niej!

Przejrzawszy się w lustrze, poprawiwszy sztybko włosy i przypudrowawszy twarz, zbyt ze snu różową, skinęła na służącą, która kręcąc się po pokoju, wyczekiwała jej rozkazów.

— Poproś tego pana!—zawołała, rzucając się na kozetkę.

Powolnym krokiem człowieka, który przestał śpieszyć się już do czegokolwiek bądź w życiu, nuda bowiem, straszna, przeraźliwa nuda wiała dlań z każdej twarzy ludzkiej, z każdego słyszanego słowa, z każdego giestu i spojrzenia, powolnym krokiem istoty, biernej zarówno na najciekawsze zewnętrzne zagadnienia życia, jak i na rozkosze jego, Norden wszedł do pokoju Nuny.

Ona zrazu chciała zerwać się, podbież ku niemu, zawołać: „Dawno już, dawno pragnęłam poznać pana, jako wielkiego artystę, którego obrazy uwielbiam!“ dała pokój jednak.

Lepiej było przyjąć go, jak najzwyczajniejszego człowieka: większe tym sposobem może wywrze na nim wrażenie...

Leżąc więc na kanapie, bawiła się gałązką białej róży, gdy Norden stanął przed nią.

Lekkie zaróżowienie zeszło z twarzy jej zupełnie. Była podobna znowu do marmuru lub kamei, wyrzeźbionej ręką artysty.

Norden stał czas jakiś, napawając się widokiem.

— Patrzenie na mnie w salonach i na spacerach, wszędzie, gdzie spotykamy się... przypadkiem zapewne... nie wystarcza panu widocznie: zapragnął pan zobaczyć, jak wyglądam w domu u siebie; czy temu tylko zawdzięczam tę wizytę?—spytała, nie podnosząc się z miejsca i obrywając listek po listku kwiat białej róży.

— Piękno prawdziwe nie przestaje być niem nigdy. Wiedziałem z góry, że urody pani nie podniesie, ani też nie zmniejszy prostota, przeproszam, raczej... wykwił domowego otoczenia... poprawił się, spojrzawszy nagle na bogactwo rozrzuconych w artystycznym nieładzie drobiazgow i kosztownych cacek, nabywanych ot, tak sobie, dla dogodzenia chwilowym zachciankom, na kosze i wazon, pełne kwiatów,

na błękitne i białe mebelki w stylu Ludwika XV-go, pokryte cenną tkaniną.

— Gdybym był wielbicielem pani, powiedziałbym, że przyciągnęła mnie do niej chęć zobaczenia jej na tle większej swobody, ot, tak, w takim wolnym, puszczańskim szlafrocuku, na takiej miękkiej kozetce, w pozie, pół leżącej prawie, jak widzę panią teraz... Miewałem niegdyś takie zachcianki, przeszły jednak już oddawna i nie wróca, sądzę, nigdy... dodał, tłumiąc ziewanie.

— Ponieważ jednak, nawet nie będąc czyimkolwiek wielbicielem, poczuwam się do praw towarzyskiej grzeczności, przeto przychodzę przeprosić za wczorajszy swój nietakt w czasie ostatniego kotyliona: czy może teraz odgadłam intencje pana? — spytała Nuna, podnosząc się z kozetki i siadając wprost Nordena.

Ruszył ramionami niedbale.

— Nie czuję się winnym w danym razie: zostałem wyzwany, sam nie wyzywając. Atakowanemu przysługuje prawo odpierania szturm—odparł matowym, znudzonym głosem.

— Zresztą, jeżeli obraziłem panią, przepraszam. Nie znam się już na waszych formach; zapomniałem o nich; jestem wśród was intruzem... dodał cierpko.

Naraz obrzucił Nunę badawczym wzrokiem, jak gdyby chcąc przejrzeć ją do gruntu, poczem zawałał się lekko, a wreszcie, usiadłszy przy niej, z pewną nieśmiałością spytał:

— Czy pani zechce mówić ze mną rodowitym swym językiem? Pani jest polką; prawda?

— Tak, jestem polką, ale z kąd pan?..

— Z kąd ja nauczyłem się polskiego? Niegdyś władałem nim biegle. Matka moja była polką...

Przybliżył nagle. Oderwany wspomnieniem od rzeczywistości, wpił wzrok w ziemię i zamysłił się głęboko, nie czując ciężaru kłopotliwego milczenia.

Nuna przerwała je pierwsza.

— Matka pana nie żyje już? — spytała, patrząc na niego z ciekawością, której doznawała pierwszy raz w życiu, dotąd bowiem nie obchodziło ją nic, prócz niej samej.

— Tak, zmarła przed laty dziesięciu. Dosty czasu, żeby zapomnieć, prawda? — odparł, podniósłszy oczy na wlepione w siebie źrenice Nuny.

Spojrzenia ich skrzyżowały się. Ją przeszedł lekki dreszcz; na jego twarzy wystąpił bład rumieniec.

Znowu zapadło ciężkie, dławiące milczenie i znowu Nuna przerwała je pierwsza.

— Zatem matka nauczyła pana języka polskiego? — spytała, bawiąc się wciąż gałązką róży.

— Tak, matka — odparł na pół świadomie, w zamysleniu i jak gdyby sam dla siebie dodał:

— Jedyną płamą jej życia było to, że wyszła za najzatatwardzalszego junkra pruskiego, ale też główną chwałą, że zrobiła z niego najgorliwszego obrońcę praw waszego narodu w parlamencie...

— Ojciec pana żyje jeszcze? — spytała Nuna, usiłując podtrzymać rwącą się co chwila rozmowę.

— Nie, umarł w rok po śmierci matki. Zostałem sam. Nie mam ani bliższej, ani dalszej rodziny; muszę kochać siebie tylko.

Znowu urwał, tym razem na chwilę tylko, by zebrać może garść polskich wyrazów, których mu brakło, ale które przypominał sobie z łatwością.

Przeszedłszy z kozetki na fotel, ciągnął dalej płynnie już, zastanawiając się tylko nad niektórymi zwrotami.

— Matka moja była tem, co przywykliśmy nazywać „świętą kobietą.“ Nadużywamy często tego określenia, w tym razie jednak nie odmówiłby go chyba nawet trybunał najwyższej sprawiedliwości. W rok po śmierci jej pojechałem do waszego kraju szukać takiej, jak ona, istoty: nie znalazłem. Żaden z poznanych „Aniołów“ nie dorównał mojemu. Marzeniem matki mojej było ożenienie mnie z polką; ja sam myślałem o tem. Niestety, teraz za późno: nie

ożenie się nigdy; żonę trzeba kochać, a ja już kochać nie umiem...

Zamysłił się. Twarz jego przybrała wyraz gorzkiej niechęci. Z wlepionymi w ziemię oczyma miledzał czas jakiś; wtem wyprostował ramiona i, otrząsnąwszy się, rzekł:

— Jakim ja dziecinny, albo gorzej nawet, źle wychowany. Rozmawiając z panią po raz pierwszy, nudzę ją melodramatycznymi wyznaniem romantycznego bohatera. Co one panią obchodzą? Matka moja wprawdzie słuchałaby ich z ust najbardziej sobie nawet obcego człowieka, ale pani... pani nie ma w sobie nic z tej szczerzej, dobroduszej i rzewnej polskiej prostoty, którą przejmuję wszystko: pani stanowi typ bardziej kosmopolityczny...

Brwi Nuny zmarszczyły się lekko; oczy jej zabłyły tłumionym gniewem.

— Matka moja była włoską; pół krwi tylko polskiej płynie w moich żyłach, nie mogę zatem mieć pretensji do czystości typu... odparła szorstko.

Norden uśmiechnął się nieznacznie.

— Pod słowem „typ“ rozumiem wyraz charakteru, usposobienia, nie zaś rysy same—rzekł wolno, dobitnie.

— Poprawka... sądzę... mniej przychylna od założenia samego, mniejsza o nią jednak: wróćmy do kwestyi, od której odbiegliśmy zbyt daleko. Co właściwie sprowadza pana do mnie? Nie żal za grzech wczorajszy, gdyż go pan nie uznaje; nie polskość moja, gdyż ta została mi odmówioną kategorycznie; nie uwielbienie dla mnie; zatem... co?..

— Co mnie sprowadza? Oto prośba, by pani zechciała, by pani raczyła...

Rumieniec zakłopotania wystąpił na twarzy jego. Przerwał, znowu jakby szukając wyrazów; po chwili dodał:

— Przyszedłem prosić panią o pozowanie mi do obrazu, który noszę w myśli już oddawna. Pani nie wie, jak długo szukałem wzoru... Tak trudno znaleźć! Mam nadzieję, że pani nie odmówi... wyrzucił jednym tchem prawie.

Nuna spojrzała na niego, zdziwiona.

Ten człowiek, z którego strony doznała dotąd tyle lekceważenia, ten człowiek, mówiący wprost, że nie jest i nie zostanie nigdy jej wielbicielem, składał jej w stosunku do sił swoich i środków hold najwyższy, pragnąc wcielić w nią jeden z twórczych swych pomysłów. Czy to podobna.

Ależ za zaszczyt pozowania mu nie jedna amerykanka lub angielfka byłaby oddała majątek swój cały. Więc naprawdę ten nieznosny, brutalny impertynent wczorajszy przyszedł uczcić jej piękność?

— Dobrze, z kąd jednak, z kąd ja... mam być wzorem dla... pana? — odparła z pewnem zakłopotaniem.

— Z kąd?—prawda, trzeba to wytłomaczyć. Otóż wczoraj wieczorem, wyszedłszy z domu, natrafiłem na pstre rojowisko ludzkie i górującą w niem postać „Wiosny.“ Oburzałem się na panią w duszy: jak można robić podobne przedstawienie? A jednocześnie oczów nie mogłem oderwać od pani. Taką, a nie inną, była bohaterka obrazu, który wypieściłem w duszy już oddawna. Z temi oczami, w górę wzniesionymi, z tem pochyleniem naprzód całej postaci byłbym panią odtworzył natychmiast, gdyby nie mrok wieczorny i zbiegowisko ludzkie, paraliżujące najlepsze natchnienia. Nie umiem pracować, nie umiem myśleć w tłumie... Miałem chęć porwać panią i uprowadzić do swojej pracowni...

Mówił coraz żywiej; na twarzy wystąpiły mu ceglaste rumieńce; głos nabrał nagle metalicznego brzmienia, które uczyniło go głębokim i pełnym.

— A świat co powiedziałby na takie wykradzenie?—rzekła Nuna powoli, przechylając głowę w bok i wlepiając w Nordena wielkie swe oczy, narkotyzujące niemą pieśczętą.

Nie odpowiedział nic; zdawało się, że nie słyszał wcale pytania; patrzył na nią tylko, jak gdyby już miał ją malować.

— O, tak!—wołał.—Proszę nie zmieniać pozy i wyrazu twarzy; spokoju, jaknajwięcej spokoju!

Znowu zapadło ciężkie, dławiące milczenie; Nuna przerwała je, pytając:

— Dlaczego wczoraj dopiero uderzyłam pana, jako dobry model? Przecież na okręcie widziałem pan po raz pierwszy; czy wtedy byłam inną?

— Na okręcie? Ah, tak, prawda... taki jednak byłem wówczas roztargniony! Wydało mi się tylko, że znałem panią już dawno; nie mogłem sobie przypomnieć, z kąd, od kiedy? — ale znałem napewno. Dlaczego wczoraj dopiero przypomniła mi pani moją bohaterkę? Czy ja sam wiem? Bywają chwile jasnowidzenia. W tej gazie lekkiej, z tą naprzód pochyłą postacią uderzyła mnie pani, jak objawienie.

Zaczynam wierzyć, że przeznaczonem mi było spotkać panią tutaj...

Nuna słuchała Nordena z przymrużonemi lekko powiekami. Upajał ją dźwięk jego głosu, budząc tę słodką wibrację, którą czuła już wczoraj pod spojrzeniem natarczywych jego oczów. Gdy skończył, podniosła nań źrenice i rzekła wolno, w narkotycznym odurzeniu:

— Dziwna rzecz, i mnie też od pierwszej chwili wydało się, że znam pana już oddawna: wrażenie to przesładuje mię dotychczas jeszcze; może naprawdę widzieliśmy się gdzie, kiedy? może naprawdę przeznaczonem nam było to spotkanie tutaj?

Patrzyli na siebie długi czas w milczeniu; naraz ona spytała:

— Czem ja mam być na obrazie pana?

— Czem? Ah, prawda, i to trzeba powiedzieć, chociaż ja tak nie lubię mówić o treści swych obrazów... Nigdy nie wiem, jak one wypadną? Przystępuję do malowania, jak do modlitwy: z pokorą i skruczą... staram się przytem mieć myśl czystą... Pani tego nie rozumie, ale tak powinno być; tak malował Fra Angelico...

— No, ale proszę objaśnić mi, czem mam być, inaczej—nie będę pozowała...

Popatrzył na nią długo; wreszcie powolnym głosem człowieka zamyszonego, któremu praca mówienia przychodzi z trudnością, odparł.

— Cieniem, duszą, która, jak lotny opar, unosi się bądzie nad mogiłą ciała swego. Dokoła lilie białe... płynie wśród nich... biała... spokojna...

Nuna spojrzała nań z trwogą i zdziwieniem.

Oczy miał wlepione w jeden jakiś punkt przestrzeni; twarz wyrażała zachwyt estetyka.

— Jeżeli tak, to należę do złych wzorów—odparła cierpko. Ja nie mam duszy: od najmłodszych lat mówią mi to wszyscy... Jestem zimna, nie umiem litować się nad nikim, nie umiem współczuć nikomu; rozumiem tylko swoje własne cierpienia, a, właściwie, nie mam ich wcale... nie płaczę nigdy...

Norden, jakby zbudzony nagle z letargu, otrząsnął się i rzucił na nią badawcze spojrzenie.

— Pani śpi jeszcze—rzekł—przyjdzie jednak chwila zbudzenia... Tymczasem zaś ten ziemski półsen pani to spokój mego cienia... Szukałem go od tak dawna i znaleźć nie mogłem.

Rozmowa upadła znowu. Tym razem wszakże Nuna nie usiłowała podtrzymać jej. Opowiadała ją dziwna trwoga: wydało się jej naraz, iż wszystko, cokolwiek powie, będzie banalne, pospolite, niegodne tego człowieka, człowieka... innego świata.

Z kąd ona mogła go znać? Gdzie widziała go po raz pierwszy? Pytała sama siebie, nie ruszając się z miejsca, nie mając odwagi podnieść oczów na stojące wprost siebie olbrzymie zwierciadło, w którym lubiła przeglądać się zwykle podczas rozmowy.

Norden wstał pierwszy.

— Kiedy mogę oczekiwać panią w pracowni? Jutro między drugą a trzecią: czy dobrze? Zdaje się, że w tej porze nie straci pani przezemnie żadnej tutejszej rozrywki, świat miejscowy bowiem wypoczywa wówczas... rzekł zwykłym matowym swym głosem, po chwili zaś dodał miękko, z akcentem pokory:

Korespondencya ze Lwowa.

W Listopadzie.

— Dwie tylko jeszcze próby mam przedtem; pierwsza: czy przyrzeka pani nie mówić nikomu, kim jestem? Dla wszystkich przybrałam pospolite i nie zwracające uwagi nazwisko Müllera; inaczej, nie opędziłbym się wizytom, prośbom o szkice i podpisy w albumie...

Niecierpię tego; męczą mię i nudzą podobne komedye...

Druga próba: czy mogę mieć panią u siebie samą, albo co najwyżej z aniołem stróżem, któryby mógł zostawać w sąsiadującym z pracownią pokoju? Nie wyobraża pani sobie, jak przeszkadza mi obecność kogoś trzeciego. Czasami oddech czyjs, czyjes chrząknięcie przerywa mi najlepsze natchnienie... Niech pani nie będzie okrutną i wybaczy ten kaprys chorego dziwaka...

— Dobrze, zastosuję się we wszystkim do życzeń pana; jutro będę w pracowni sama lub co najwyżej ze służącą, która śpi na zawołanie, gdziekolwiek się ją posadzi...

Wyciągnął do niej rękę, dziękując.

Chciała powiedzieć wówczas, że dawno już pragnęła go poznać, że widziała jego obrazy i zachwyca się nimi... Możeby go to rozdrażniło jednak? Nie lubi pochlebstwa? Dała więc pokój. Pożegnała go zwyczajnie, jak człowieka, który nie wywarł na niej głębszego wrażenia. Po wyjściu jego wszakże, rzuciwszy się znowu na kanapę i leżąc długi czas bez ruchu, pytała sama siebie.

— Co znaczy ta dziwna vibracya, jaką budzi we mnie głos, spojrzenie, a nawet sama jaż tylko obecność tego człowieka? Malarz, wielki malarz! Czy dlatego okazałam mu takie bierne, ślepe posłuszeństwo?

Prosił, bym przyszła do niego sama; przyrzekałam bez chwili wahania, jakkolwiek dotychczas zawsze zwracałam uwagę na wymagania opinii... Przytem nie słuchałam dotąd nikogo: co znaczy ten nakaz kategoryczny, jakim jest dla mnie wola tego dziwaka? Zkąd przewaga jego nademną? Zkąd to, iż teraz, gdy odszedł, gdy go nie widzę, narzuca się gwałtem moim myślom, które dotąd nie umiały krążyć dokoła żadnej istoty żyjącej?

Nie umiała znaleźć odpowiedzi; czuła tylko ogarniające ją zwolna odurzenie; czuła jakby zapach wiosny w powietrzu. Przechodziły ją przytem słodkie dreszcze. Zdawało się jej, że śpi, oczy jednak miała szeroko otwarte i ściagała niemi jakąś arabeskę gżemsu na suficie...

Co to było? Co to znaczyło? Nie wiedziała sama, stan ten jednak sprawiał jej niewypowiedzianą rozkosz.

— Jutro pójdę do niego do pracowni.., o, tak, pójdę!—będzie to dla mnie coś nowego: takich wrażeń nie doznawałam jeszcze nigdy... myślała i zdawało się jej, że doba, która ją od tej chwili dzieli, jest bardzo długa i nie skończy się nigdy...

Gdy w jakiś czas potem dało się słyszeć u drzwi ciche stukanie i tłusta Fanny, wszedłszy, oznajmiła, iż kilku panów czeka w ogrodzie, chcąc odbyć wspólną przejażdżkę łódką po morzu, otrząsnęła się z niechęcią; żal jej było dziwnie rozkosznych marzeń, jakie snuła przed chwilą; może już nie wróca?

Głosy Badena i Pschütta, dolatujące przez otwarte okna, napełniły ją niesmakiem.

— O czem ja będę mówiła z tymi dwoma bezmyślnymi dudkami? — zapytała nagle sama siebie.

I opanovało ją jakieś głuche niezadowolenie. Nie miała ochoty iść między ludzi: byłaby wolała zostać sama, leżąc na kanapie, jak przed chwilą i myśleć o czemś dziwnem, czemś nieuchwytnem...

Dlaczego?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wam dalekim od nas, którzy codzień czytujecie długie telegraficzne sprawozdania o procesie naszej kassy oszczędności, zdawać się może, iż Lwów cały niczem się nie troszczy jak tą smutną sprawą. Tymczasem, choć proces trwa już trzy tygodnie, choć reporterów i korespondentów moc na sali, a w dziennikach długie szpalty zeznaniami świadków i oskarżonych zapełnione, przecież zgodnie z prawdą wypowiedzieć trzeba, że odjazd w sierpniu główny bohater sprawy, dyrektor Franciszek Zima, niespodzianie zeszedł ze świata, w najkrytyczniejszej chwili—w naturalną śmierć jego mimo urzędowych sprawozdań o wynikach sekcji zwłok, nikt jakoś wierzyć nie chce—straciła cała sprawa na sile atrakcyjnej i nie budzi szczególnego zainteresowania. Rozprawa wlece się leniwo korytem wymaganych ustaw formalności, manipulacye buchalteryj i bankowe, na których się zwykły śmiertelnik rozumieć nie może, stanowią podstawę procesu, cyfry, cyfry i znów cyfry, cała arytmetyka przewija się węzłem monotonnym prawie przez wszystkie dnie rozprawy. Przesłuchanie Furmanowej i kilku przedmieszczan i przedmieszczanek religii chrześcijańskiej i żydowskiej. tyle tylko komiczno-rodzajowego żywiołu przerywa nudy przewlekłego procesu. Zresztą oskarżeni: Wędrychowski, naczelny buchalter kasy, człowiek już stary, choćby go nie uznano winnym, bez majątku, bez zaoszczędzonego grosza, bez emerytury pędzić będzie żywot w nędzy; a Stanisław Szczepanowski, którego losy przedstawiają tragedję idealizmu, jest złamany nie tylko na duchu, ale i fizycznie, ciężka choroba serca niszczy silny niegdyś organizm...

W ostatnich czasach zabrała nam śmierć znowu szereg dzielnych i zasłużonych ludzi. Najzasłużęnszym jednak, bez wątpienia był z nich Włodzimierz hr. Dzieduszycki, urodzony 1825 r., zmarły w majątności swej Poturzycy d. 24 września b. r. złożony w grobowcu rodzinnym w Zarzeczu. Brał udział w życiu politycznym, był członkiem austriackiej Izby Panów, posłem na Sejm a czas jakiś nawet marszałkiem krajowym. Ale główne zasługi Dzieduszyckiego leżą na polu pracy obywatelskiej; zajmował się nieustannie najgorliwiej sprawą ekonomicznego i umysłowego podniesienia kraju. Nie szczędził fundusów na cele przemysłowe, nauki i literatury, założył Muzeum przemysłowe Lwowskie, zorganizował pierwszą powszechną wystawę krajową we Lwowie 1877 r. „Nie żałujmy wydanych fundusów“, rzekł przy jej otwarciu, „pozostaną one w kraju; mnie żal tylko każdego grosza, który wychodzi za granicę, bo ten już nie powróci!“.

Od najwcześniejszych lat objawiał śp. Dzieduszycki szczególne zamiłowanie do nauk przyrodniczych i kształcił się głównie w tym kierunku. Owocem tego zamiłowania w naukach przyrodniczych jest trwały pomnik sławy Dzieduszyckiego i główny tytuł do wdzięczności dlań potomnych, Muzeum imienia Dzieduszyckich we Lwowie. Zamiarem Dzieduszyckiego było, w jednym miejscu, w jednym gmachu zebrać wszystkie płody i okazy trzech królestw przyrody, jakie się u nas znajdują, więc faunę i florę i geologię kraju w całości przedstawić, niemniej zaś wszystkie okazy zgromadzić, któreby się odnosiły do etnografii i antropologii krajowej. Od dzieciństwa niemal aż do ostatka dni swoich gromadził skrzętnie wszelkiego rodzaju okazy, porządkował je umiejętnie przy pomocy dzielnych uczonych jak Wład. Zontaka, dyrektora Muzeum, profesora D-ra Łomnickiego i w. i. Tym sposobem powstała instytucja, śmiało wytrzymująca porównanie z pierwszorzędnymi podobnymi zakładami zagranicy, jak to

stwierdzili i uznali Cesarz Franciszek Józef, śp. cesarz Rudolf, znakomity znawca przyrody, także wielu uczonych przyrodników, którzy zwiedzali te zbiory. Co gdzieindziej państwo z fundusów publicznych, zdziałał tu jeden Dzieduszycki własną pracą i zapobiegliwością, własnym majątkiem, z dochodów dóbr swych wzorowo zagospodarowanych. Muzeum swoje 1880 r. darował krajowi i zabezpieczył byt trwały ukochanemu dziełu. Wydając „Przewodnik po Muzeum“ 1895 r. napisał starzec w przedmowie: „Moim ukochanym wnukom i całej naszej młodzieży książeczkę tę poświęcam z gorącym życzeniem, aby zwiedzanie bogactw przyrodniczych naszej ziemi, wyrobów pracy i zdolności ludu naszego, i prastarych w ziemi zagrzebanych pamiątek po praojcach naszych, zagrzewało do miłości tej ziemi i tego ludu i do pracy nad dalszem badaniem tej spuścizny po ojcach naszych“. Oto myśl przewodnia obywatelskiej działalności Włodzimierza Dzieduszyckiego.

A gdyśmy już od obrazów smutnych przeszli do pocieszających, pozostańmy dzisiaj przy objawach pomyślnych. Przypatrzmy się np. nieco działalności jednego z najczynniejszych tutejszych stowarzyszeń kobiecych. Jest niem „Stowarzyszenie nauczycielek“, założone temu lat 8 a w skromnym zakresie swej działalności mogące się chlubić wcale pokaznymi wynikami. Jednym z ideałów, do którego Stowarzyszenie dąży, jest wybudowanie własnego gmachu; w którym mieściłyby się kancelarja, sala posiedzeń, sala wykładowa, w pierwszym zaś rzędzie i głównie byłby gmach ten schroniskiem dla nauczycielek starszych, niezdolnych do pracy. Ileżbo to dzisiaj jest w szeregach nauczycielstwa pracowniczek, które dreszcz trwogi przechodzi na myśl, że kiedyś czeka je bieda i nędza, gdy wycieńczony zbytnią pracą organizm odmówi pomocy, gdy natura upomni się o należną jej porę spoczynku, a nie będzie o czem odpoczywać. Myśl budowy schronienia dla niezdolnych do pracy nauczycielek jest tedy zamiarem, godnym trudów i domagającym się urzeczywistnienia. Niestety środki, któremi Stowarzyszenie obraca, są to przeważnie drobne kwoty płynące z wkładów członków, t. j. nauczycielek, od czasu do czasu z dochodu jakiegoś odczytu lub koncertu. To też gdy się zważy, że dotychczas nikt się nie znalazł, coby jakąś poważniejszą kwotą przyczynił się do urzeczywistnienia myśli budowy schroniska, suma dotąd na ten cel przeznaczona, wynosząca kilka tysięcy reńskich na stały procent złożonych, musi być uważaną jako rzetelny dowód najlepszych zamiarów Stowarzyszenia. Boć niezapomnijmy o tem, iż zbierając kapitał na schronisko, Stowarzyszenie nie traci z oczu i tracić nie może nauczycielek potrzebujących pomocy doraźnej, które się też wspiera w miarę skromnych fundusów.

W innym także kierunku działa Stowarzyszenie bardzo pożytecznie. W Galicyi kandydatki stanu nauczycielskiego z reguły kończą seminaryum nauczycielskie egzaminem dojrzałości; właściwą kwalifikacyę nauczycielską zyskują jednak dopiero egzaminem złożonym przed osobną komisją rządową, mianowicie mogą otrzymać patent na nauczycielkę szkół ludowych, a po złożeniu tego egzaminu na nauczycielkę szkół wydziałowych. Otóż dotychczas przygotowywanie do egzaminu wydziałowego powodowało duże trudności kandydatkom, którym egzamin ten otwiera widoki wyższego stanowiska i lepszej płacy. Nie jedna nauczycielka poświęcała ciężko zapracowany grosz na to, aby pobierać naukę i przygotowywać się do egzaminu pod kierownictwem osoby, która zbyt często żadnej nie dostarczała rękojmii, że nauka przez nią podawana będzie rzetelną i skuteczną. Dzisiaj jakże to inaczej! Stowarzyszenie nauczycielek zorganizowało kursa przygotowujące do egzaminu wydziałowego z wszystkich 3 grup: 1) filologiczna, 2) przyrodnicza, 3) matematyczno-rysunkowa. Kursa te rozpoczęły właśnie już rok czwarty. Mają one wielką zasługę, bo wprowadziły przygotowywanie kandydatek na zupełnie inne i właściwe tory. Nauki udzielają

pierwszorzędne siły fachowe, nauczyciele, których umiejętne i pedagogiczne uzdolnienie nie podlega żadnej wątpliwości. Język i literaturę niemiecką profesor Dr. Albert Zipper, historię i geografję profesor Dr. Mieczysław Warmśki, historię naturalną profesor Dr. Józef Limbach, matematykę i fizykę profesor Dr. Emil Sawicki i t. d. Nauka odbywa się w godzinach wieczornych w lokalu Stowarzyszenia. Opłata za te godziny zbiorowe jest bardzo niską, wynosi ona około 8 do 10 guldenów miesięcznie za wszystkie przedmioty objętą jedną grupą. I od tej nawet opłaty mogą kandydatki wykazujące brak środków i okoliczności zasługujące na względy, uzyskać częściowe albo zupełne uwolnienie. Kurs wyczerpuje w ciągu roku a właściwie od jesieni jednego roku kalendarzowego do lata następnego, cały materiał do egzaminu wymagany, a miesiąc wrzesień po wakacjach, poprzedzający egzamin, przeznaczony na powtarzanie przedmiotów pod kierownictwem tych samych nauczycieli, którzy je wykładali. Kursa te wyświadczyły ogromne dobrodziejstwo kandydatkom stanu nauczycielskiego, które obecnie za bardzo niską opłatą lub zgoła darmo, korzystając z nauki metodycznej i pewnej, gdy dawniej ponosiły znaczne ofiary na przygotowywanie ladajakie, często wręcz nie właściwe i bezskuteczne. Dziś Stowarzyszenie ze swych funduszów dokładając, aby umożliwić kursa przygotowawcze, czyni to w tem przeświadczeniu, iż przyczynia się do podniesienia intelektualnego poziomu i bytu materialnego płci niewieściej.

Przewodniczącą Stowarzyszenia nauczycielek jest pani Zofia Romanowiczówna; sekretarką wielce zasłużoną około rozwoju Stowarzyszenia p. Aniela Alexandrowiczówna; w wydziale zasiada oprócz wielu bardzo czynnych kobiet także dwóch mężczyzn, ksiądz kanonik Stopczyński i profesor Dr. Zipper.

Do pomyslnych objawów na polu społecznym należy także bezwątpienia działalność firmy nakładowej, która ze wszystkich galicyjskich w ostatnich latach jest bezsprzecznie najruchliwsza. Dwadzieścia pięć lat minęło od czasu, gdy w mieście Złoczowie powstała maleńka księgarnia sortymentowa połączona z handlem papierowym, ot sobie skromna jak na miasto prowincjonalne galicyjskie przystało. Dzisiaj zaś księgarnia Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie jest księgarnią nakładową pierwszorzędną, która z własnej drukarni wypuszcza setki swych wydawnictw w świat szeroki. Kilkanaście lat temu p. Wilhelm Zukerkandl, który dawniej tylko obce nakłady miał na składzie, rozpoczął czynność wydawniczą pierwszym tomikiem: „Biblioteczki dla dzieci i młodzieży“, liczącą obecnie 30 tomików. Później przystąpił do wydawania innych rzeczy, n. p. Plauta komedii pięć, w przekładzie J. I. Kraszewskiego i t. d. Popularną jednak stała się firma Zukerkandla dopiero z chwilą, gdy rozpoczęła wydawnictwo swej 12 centowej „Biblioteki powszechnej“. W 280 już numerach rozchodzą się wszędzie zgrabne żółte tomiki i rozpowszechniają nowe i powieści, dramaty i poezye, autorów swojskich i obcych, ale też prace umiejętne, szkice i portrety literackie, opisy krajów i miast, monografie historyczne, a nawet naukę języków francuskiego i niemieckiego, naukę tańców i t. d. Każdy tom stanowi całość, a tylko wygląd, format, druk staranny, tania cena są im wspólne. Zasługi tej „Biblioteki powszechnej“ około spopularyzowania wiedzy i szerzenia oświaty, uzna-

ło jury Wystawy krajowej we Lwowie 1894 r., udzielając firmie Zukerkandla medal srebrny.

Wydawnictwo tak tanie jak „Biblioteka powszechna“ wymaga bardzo znacznego obrotu, aby się kosztą wróciły, nie mówiąc już o zysku. Ma ono też do walczenia z rozmaitemi trudnościami a droga nakłady bynajmniej różami usłaną nie jest. Mimo to nakładca złoczowski nie ustaje w swych staraniach i zabiegach, idzie śmiało raz wytkniętym torem i dąży nieustannie do zewnętrznego i wewnętrznego udoskonalenia swych nakładów. Chociaż tedy skromna firma złoczowska nie urządzała jubileuszu głośnego, zaszyliśmy jej z powodu dwudziestopięcioletnia pożytecznej działalności serdeczne i zasłużone „Szczęść Boże!“

Derazet.

Zabezpieczenie budynków

PRZED UDERZENIEM PIORUNU.

Znany budowniczy w Stuttgarcie, Findeisen, wygłosił niedawno odczyt o sposobach uchronienia budynków przed uderzeniem piorunu.

Findeisen brał wprawdzie pod uwagę warunki miejscowe i opierał się na danych statystycznych, jakie od lat kilku, z wielką ścisłością, prowadzone są w Wirtembergii, nie mniej wszakże spostrzeżenia Findeisena mają ogólne znaczenie.

Zwykle używane sposoby w celu zabezpieczenia budynku przed piorunem, zaledwie w nader małej części odpowiadają rzeczywistej potrzebie, — z drugiej zaś strony, statystyka wykazuje, iż niebezpieczeństwo w tym kierunku, nie jest tak wielkie, jak to zazwyczaj przypuszczamy.

Wewnątrz budynków, mieszczących miliony ludzi, w ciągu kilkunastu lat ostatnich, nie było ani jednego wypadku, spowodowanego uderzeniem piorunu.—Skody, w przeciagu ostatnich lat 25-u w Stuttgarcie przez piorun wyrządzone, a dotykające budynków i ruchomości, nie przekraczają sumy kilku tysięcy Mk. Budynki miejskie są pod tym względem zagrożone bardzo mało, podczas gdy z ogólnej liczby strat, wynikłych w Wirtembergii od pioruna, 90% przypada na zabudowania gospodarskie. Powyższy stosunek, tak niekorzystny dla zabudowań wiejskich, tłumaczy się tem, iż budynki owe zawierają zazwyczaj przedmioty łatwo zapalne.—Ztąd podczas uderzenia piorunu nierównie tu łatwiej o wypadek pożaru aniżeli w budynkach miejskich, gdzie uderzenie rzadko kiedy poważniejsze za sobą pociąga następstwa.

Błędnem jest mniemanie, iż piorunochron, źle urządzone, na większe naraża niebezpieczeństwo niżli brak piorunochronu,—równie błędnem jest też mniemanie, iż dom zaopatrzony w piorunochron łatwiej podlega uderzeniu.

Rynny, rury upustowe i różne inne blaszane części domu, występują często w roli doskonałego piorunochronu, jakkolwiek zdarza się zazwyczaj, że przy próbach z galwanometrem, lub z mostkiem mierniczym Wheatston'a nie okazują zdolności przewodnictwa. Pochodzi to

z tego, iż słoje farby lub rdzy czynią je niezdolnymi do przeprowadzenia słabego prądu, wytwarzanego w aparacie kontrolującym,—podczas gdy prąd piorunu, posiadający olbrzymie napięcie, przekraczające nieraz setki tysięcy wolt, podobne przeszkody z łatwością zwalcza. Wiadomo, iż w tych razach nie jest koniecznem, aby przewodnik stanowił jedną, nieprzerwaną całość, wystarcza, jeśli części jego ztykają się odpowiednio wielkimi płaszczyznami, jak to ma, lub łatwo może mieć miejsce, w częściach budynku pokrytych blachą, np: w narożnikach, rynnach, rurach odpływowych i t. p.

Bardzo ważnem jest zabezpieczenie najwyższych położonych załamań dachu, i rogów domu, jako wystawionych najbardziej na niebezpieczeństwo uderzenia. Wystarcza np: grzbiet zwykłego, pochylego i gładkiego dachu pokryć na całej długości niezbyt szerokim pasem blachy, ten zaś od szczytu połączyć z ziemią za pomocą drutów, lub, co jeszcze jest prostszem, za pomocą istniejących przy każdym domu rynien, rur, i t. p.; aby w ten sposób, nie uciekając się do specjalnych urządzeń, małym kosztem zabezpieczyć dom przed uderzeniem piorunu.

Co do przewodników, połączonych z ziemią, najlepiej jest, w mniejszych nawet budynkach, zamiast jednego przewodnika, zaprowadzić cztery, to jest: po jednym na każdym rogu. Należy przytem unikać jaknajstaranniej zagięć spiralnych, w których indukcyja własna ulega zwiększeniu. Koniecznem jest w ogóle aby do piorunochronu włączone były tylko takie przewodniki, po których prąd mógłby przebiegać ku ziemi swobodnie, bez najmniejszych przeszkód. Szczególnie ważne znaczenie mają takie przewodniki przy budynkach, wzniesionych całkowicie, lub w znacznej części z żelaza, gdzie piorun, w miejscu uderzenia może po metalowych płaszczyznach rozbieść się w różnych kierunkach i w niezliczonej ilości punktach do ziemi przedostać. W miejscowościach, gdzie wody gruntowe znajdują się zbyt głęboko, można przewodniki układać w ziemi, w warstwach wilgotnych, dostateczną siłą przewodnictwa obdarzonych, sam zaś drut zakończyć szerokimi zwojami, lub też oprowadzać tenże raz jeden albo razy kilka na około budynku. Rozłożone na dużej przestrzeni przewodniki działają pewniej aniżeli stosowane zwykle kwadratowe płyty.

W specjalnych dziełach, traktujących o urządzeniu piorunochronów, zwracano dotychczas mało uwagi na tę okoliczność, iż najracjonalniejszy a zarazem najtańszy sposób zaprowadzenia tego rodzaju urządzeń, pozostaje w bardzo ścisłym związku z żelazną konstrukcją budynku. Bliskość lasów, zarówno jak i bliskość wody, mokry grunt i tem podobne warunki nie wywierają wyraźnego wpływu na częstotliwość wypadków, dowiedzionem jest tylko to, że budynki samotnie stojące, wysokie, lub na wzniesieniu umieszczone, bardziej aniżeli inne wystawione są na niebezpieczeństwo uderzenia.

Z. S.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: *Samotna*, powieść przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Arkusz 16.—*W loży*, przez J. Glaubicza.

Treść: Jak należy z małemi dziećmi postępować, przez H. M. — Piotr Chmielowski. Nasza krytyka literacka w w. XIX-ym (dalszy ciąg). — Przy kominku (Pogawędka), przez ??—Zasłyszane, przez Mieczysława Głińskiego.—Bez duszy powieść przez Cecylję Walewską (dalszy ciąg).—Korespondencya ze Lwowa, przez Derazeta.—Zabezpieczenie budynków przed uderzeniem piorunu, przez Z. S.

Dodatek obejmuje: *Samotna*, powieść, przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Ark. 16-ty.—*W loży*, przez J. Glaubicza. — Przegląd mód. 31 wzorów i robót z opisem. Sekretu gospodarskie.—Dyspozycya obiadu.

Ubranie z jasnego sukna, ozdobione gipiurą.

Rycina Nr 9 w Bl. Nr 45

Bardzo wiele ubierają jasne suknie sukienne, mocnymi zębami gipiurami; rycina przedstawia ładne ubranie z żółtawego sukna, przybrane białą gipiurą. Tiunika, oszyta wązkiemi, przestębnowanymi pliskami z materiału, z pod której widoczna jest z boku spódnica. Staniczek z boku zapinany, cały przybrany gipiurą; przybranie to u góry tworzy rodzaj karczka, pokrywa stojący kołnierzyk, a na przodu



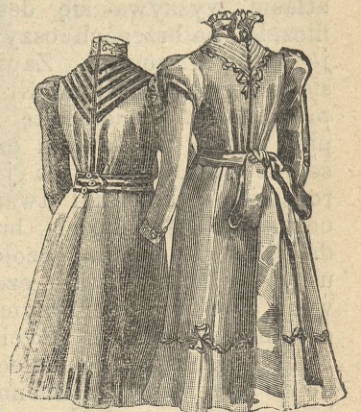
a. Plecy do ryciny Nr 6.



Nr 1. Staniczek z wydłużonymi ramionami do ubrań wizytowych. (Kr. odw. str. tab. Nr XII, fig. 105—108).

Nr 2. Ubranie do teatru dla młodych osób.

Nr 3. Staniczek balowy dla młodych pań.



Nr 4 i 5. Plecy do rycin Nr 18 i 19.

się ruchomo okrągła, po obu końcach z galkami sztabka. Haft wykonywa się na kanwie krzyżkowym ścięciem; wzór haftu przedstawia ryc. 29. Ryc. Nr 17, przedstawia śliczną, wiszącą poduszczkę do pojedynczych i podwójnych szpilek. Bierze się 26 cent. długi, 7 cent. szer. pasek z kartonu, obciąża się szyrtyngiem i zeszywa razem, jedną stronę zaokrąglenia wypycha się drzewną sierścią, a drugą — wata i obszywa złoto-żółtym aksamitem, drobno układana plisowana falbaneczka z różowego jedwabiu zdoła poduszczkę. Na stronie, przeznaczonej do szpilek podwójnych, wyszyta jest kratka mohairową włóczką, po drugiej — ozdobiona skośnie wstążeczką wazjut-



Nr 6. Ubranie balowe, przybrane zębami. (Plecy szkie a).

dzie ciągnie się do paska. Rękawki oszyte pliskami. Kapelusz okrągły, jasny, filcowy, przybrany turkusowego koloru jedwabną wstążką i strusim piórem — ożywia ten kostyum.

Ubranie wizytowe, przybrane pasmanterią.

Rycina Nr 10 w Bl. Nr 45.

Ubranie z ciemno-czerwonego wełnianego materiału, przybrane ciemniejszego koloru pasmanterią, bardzo jest eleganckie. Lekko powłóczysta spódniczka, ogarniowana cztery razy pasmanterią, oszyta pliseczkami z materiału. Staniczek też przybrany pasmanterią i pliskami. Kamizelka i stojący kołnierzyk z kremowej gipiury na ponsowym jedwabiu ogarniowane są ciemno-ponsową aksamitką. Rękawki przy ręku oszyte pasmanterią. Pasek z materiału przestębnowanego. Kapelusz z ciemno-ponsowego aksamitu, ozdobiony jasnym jedwabiem i ponsowo-zielonymi, cieniowanymi skrzydełkami.

Kapelusz dla dziewczynki od 5—6 lat.

Rycina Nr 11 w Bl. Nr 45.

Miluchny jest okrągły kapelusik z białej, jedwabnej gazy, umocowanej na delikatnych drucikach. Śpiczasta, dość wysoka główka, ogarniowana gazą w rieszki, naokoło powyginanego rondka podwójna falbana z gazy. Sute rozety z gazy i białe strusie pióra zdoła ten oryginalny kapelusik.

Suknia, okładana futerkiem i kapelusz.

Rycina Nr 14 w Bl. Nr 45.

Suknia z kremowego sukna, przybrana plisami z „moiré“ w prążki i puszkiem futrzanym, tworzy śliczny kostyum. Powłóczysta spódniczka, oszyta naokoło puszkiem, toż samo z boku zapinany staniczek, kołnierzyk stojący i rękawki. Skromny, biały, filcowy kapelusz, przybrany piórami i czarnymi aksamitkami.

Ręczne roboty dla dzieci.

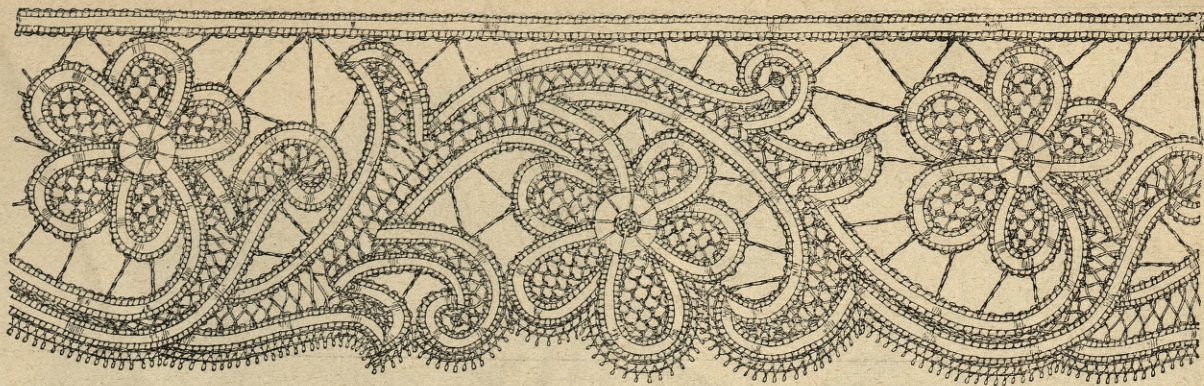
Rycina Nr 16—29 w Bl. Nr 45. (Wzór odw. str. tab. fig. 122).

Jak corocznie — podajemy tu wybór rozmaitych robótek, dla większych i mniejszych dziewczynek. Ryc. Nr 16, przedstawia przyrząd do przytrzymania koldry z haftem, wykonanym krzyżyk. robotą, stosowny podarek na gwiazdkę. Składa się z dwóch sztabików 85 cent. długich i dwóch 30 cent., szerokość 4 cent. ciemnopolerowanych, na krzyż przymocowanych. U dołu są mocne, metalowe haki, na które zakłada



Nr 7. Kostyum do ślizgawki. (Krój odwrotna strona tablicy Nr VII, fig. 62—73).

ką. Karton obciągnięty szyrtyngiem z wierzchu, obciąga się filcowym materiałem, na którym wyszywają się gwiazdki różowym jedwabiem, podług ryc. Nr 23. Suta kokarda z różowej wstążeczki zakończy tę śliczną poduszczkę. Rycina Nr 18, przedstawia wiszącą wkładkę do zapalek. Wycina się podług ryciny dwa paski z zielonego, filcowego materiału i jeden z czerwonego, środkowy wyszywa się u dołu jedwabiem, boczne paski przeciąga się jedwabną, czerwoną wstążką, na końcu której przymocowane są po obu stronach monety. Na środkowym pasku wkłada się pudełeczko do zapalek. Wkładka ta przymocowana jest do sztabiku, do którego przywiązany jest sznur jedwabny do zawieszania. Ryc. Nr 19. Poduszczenka na tualetę, oszyta po prawej stronie jedwabnym adamaszkiem koloru kremowego, po lewej — różową bengaliną, haft wykonany jedwabnym sznureczkiem i złotą filozelą. Naokoło poduszczenki riusza z podwójnej adamaszkowej materii. Ryc. Nr 20 przedstawia pierścień do serwetek, bierze się 20 ct. długi, 5 cent. szeroki kawałek atlasu, podszywa gaza, na atlasie wyszywa się deseń filozelą, na brzegach oszywa jedwabnym sznurem. Zapina się na guzik. Rycina Nr 21 przedstawia wycieraczkę do piór, składa się z dwóch części ze sukna, wyszyta jest rozmaitemi kolorami twarzy: oczy — niebieską filozelą, broda i brwi — ciemną, czoło i uszy — różową, usta — czerwoną. Dwie te części przymocowane są guzikiem. Rycina Nr 22, przedstawia pudełeczko do grzebieni z płócienej krepy i czarnego sukna. W środku zrobione są pałeczki do wkładania różnej wielkości grzebieni, szpilek i t. d. Wierzch wyszyty ponsowym jedwabiem. Zapina się na guziki i zdobi ponsową wstążką z kokardami. Na ryc. Nr 26 widzimy podstawkę pod lampę okrągłej formy z materiału filcowego, z powycinanymi, dużymi dziurkami, podłożoną gładkim materiałem. Wyszywa się na tem gwiazdki i naokoło obszywa jedwabną frendzlą. Rycina Nr 28



Nr 8. Haft z „point-lace“ do garnirowania garderoby.

Rycina Nr 1. (Krój odwrotna strona tablicy Nr XII, fig. 105 — 108). Śliczne to ubranie z białego w deseń atlasu z różowymi wypustkami, składa się ze spódniczki z wązkim przodem atlasowym, białym i ze staniczka z wydłużonymi ramionami, które się w fałdki układają na rękawach. Eleganckie, duże, metalowe agrafki, spinają z przodu rozchodzący się staniczek, gdzie widoczna jest gładka, biała kamizelka.

Ubranie do teatru dla młodych osób.

Rycina Nr 2.

Gustowne zestawienie czarnego „taffet“, białej gazy i gipiurowych zębów, tworzy śliczną sukienkę do pół-żałoby. Spódniczka naszyta stebnowanymi plisami. Staniczek z boku zapinany składa się z kamizelki, układanej u góry w poprzeczne zakładeczki, a niżej w podłużne z białej gazy. Prócz tego gipiurowe zęby zdobią staniczek i spadają aż na ramiona, u góry są naszyte plisami z „taffet“, a naokoło kamizelki wyszycie ze szlaczku jedwabnego w zęby, tudzież stojącego kołnierzyka i mankietów, bardzo ubiera sukienkę.

Balowy stanik dla młodych pańienek.

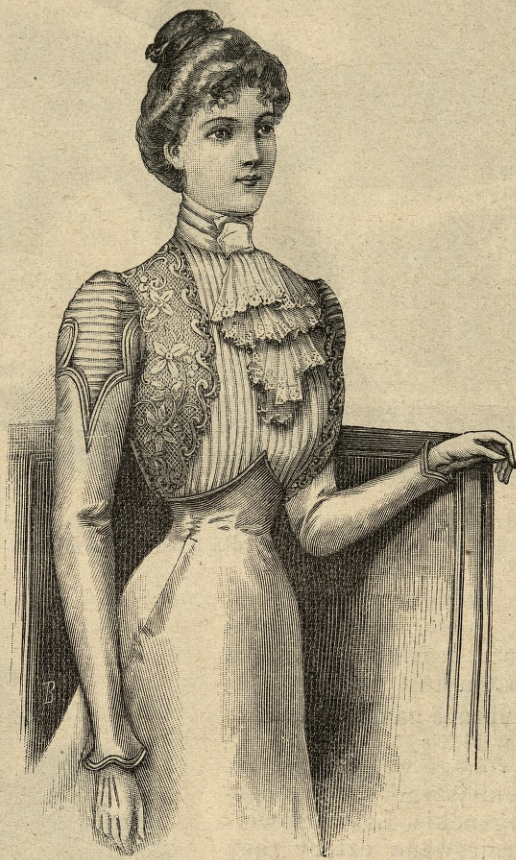
Rycina Nr 3.

Staniczek bluzkowy z różowej, jedwabnej krepy, jest czworokątnie głęboko wycięty i oszyty czarnym aksamiem z rozetami po bokach. Na ramionach fałbani z „chantille“ zębów, tworzą epolety. Śliczne agrafki ze strasu zdobią staniczek i zapięcie paska.

Ubranie balowe.

Rycina Nr 6.

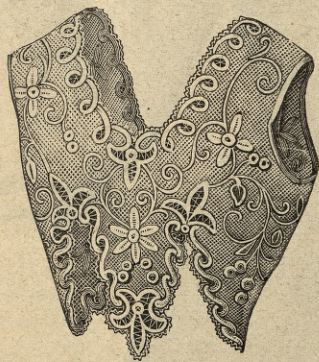
Śliczne to ubranie składa się z różowego „crêpe de chine“, tegoż koloru atlasu i kre-



Nr 10. Bolero z wyszyciem z wstążeczki. (do ryciny Nr 14). Krój odwrotna strona tablicy Nr XIV, fig 118.



Nr 11. Bluzka z karczkiem. (Krój odw. str. tabl. Nr X, fig. 90 — 99).



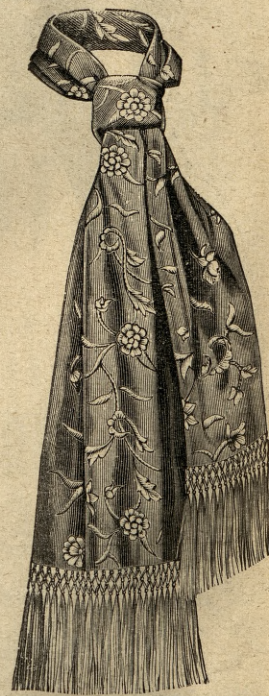
Nr 14. Plecy do ryciny Nr 10.



Nr 12. Część wyszycia do ryc. 9. Wielk. oryg.



Nr 13. Wzór wyszycia do ryc. 26. Wielkość oryginalna.



Nr 9. Krawatka z wyszyciem. (do ryc. Nr 12). Wzór odw. str. tabl. fig. 119.

mowych, gipiurowych zębów. Tiunika na atlasowej spódniczce, oszyta drobno plisowaną fałbanką u dołu z riusz-

ka, przybrana jest gipiurą i rozetami z aksamitki po bokach. Staniczek marszczony z „crêpe de chine,” cały pokryty gipiurą i przybrany aksamitkami. Pasek aksamitny z klamerką ze strasu.

Kostium do ślizgawki.

Rycina Nr 7. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 62—73).

Czerwono-lila sukno stosowne jest na ten kostium z aksamitną kamizelką koloru jasnego, przybranie stanowi oszycie z futerka, które zdobi trzy falbany spódnicy, staniczek u dołu i rękawki, prócz tego staniczek naszyty jest fantazyjnie stebnowanemi pliskami z materiału. Kapelusik okrągły z fałdowanego aksamitu, na lewej stronie tworzy pukle z piórami, które podtrzymuje agrafka. Boa z białych i czarnych strusich piór i mufka futrzana, dopełnia całości tego eleganckiego kostiumu.

Bolero z aplikacją ze wstążki.

Rycina Nr 10 i 14. (Krój odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 118).

Kremowy brukselski tiul, wążka „point-lace” wstążeczka i tegoż koloru siatka płócienna, oto materiał na ten śliczny bolero kaftaniczek, z tyłu, jak to widać na ryc. Nr 14, tworzy u dołu ząb. Stosowną jest do tego bolerka bluzka z różowej, plisowanej gazy, ze stojącym kołnierzykiem i krawatką i gładka, jedwabna, różowa spódniczka.

Bluzka z karczkiem.

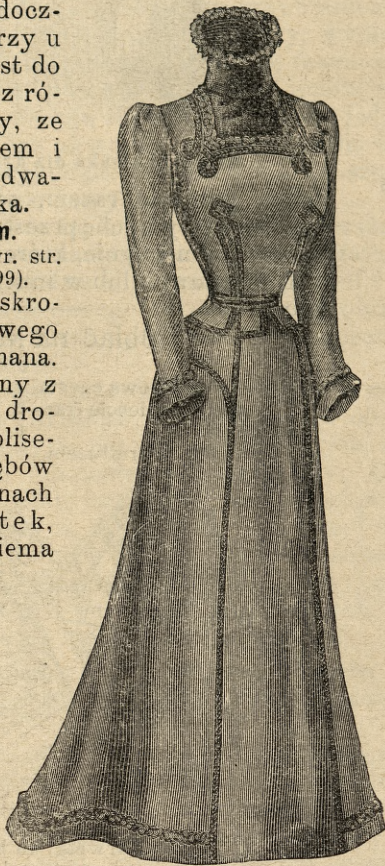
Rycina Nr 11. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 90—99).

Bardzo elegancka i skromna bluzeczka z różowego „taffet,” z tyłu zapinana. Karczek bardzo strojny z różowego „taffet” w drobniutkie zakładeczki, pliszek z materiału i zębów kremowych, na ramionach tworzy rodzaj epoletek, które ozdobione są dwiema z każdej strony sprzączkami. Kołnierzyk stojący z zakładczek i rękawy przy rękę, oszyte są zębami.

Sukienka dla dziewczynki od 6—7 lat.

Ryc. Nr 18 i 4. (Krój odwr. str. t. Nr VII, fig. 74—85).

Miluchna ta sukien-



Nr 16. Suknia z nowym krojem spódnicy. (Krój i opis pier. str. tabl. Nr II, fig. 15—24).



Nr 20. Suknia domowa dla starszych dam. (Krój i opis pierwsza strona tablicy Nr V, fig. 40—45).



Nr 15. Płaszczki i kapelusik dla dziewczynki od 3—4 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 25—29).



Nr 18 Sukienka dla dziewczynki od 6—7 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 74—85).
Nr 19. Sukienka dla dziewczynki od 8—9 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 30—39).

ka z ponsowego sukna jest z tyłu zapinana, spódniczka ma z tyłu dwie kontrafałdy, przybrana jest u dołu aksamitkami po trzy w pewnych odstępach naokoło spódniczki, które u góry tworzą pentelki. Staniczek też ogarniowany jest aksamitkami, takiż pasek z tyłu zapinany na guziki stalowe. Kamizelka z białego kaszmiru i takiż kołnierzyk, haftowane łatwym ścięciem, białym jedwabiem. U dołu staniczka aksamitne pateczki, przymocowane guziczkami. Rękawki też ogarniowane aksamitką.

Suknia z fałdowanym stanikiem.

Rycina Nr 21. (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 100—104).

Bardzo elegancko wygląda sukienka z niebieskiego angielskiego materiału, przybrana białym sukmem, naszytem wążką, jedwabną wstążeczką w szkocką kratkę. Spódniczka gładka, staniczek ma z przodu i z tyłu płytke fałdy, przestebnowane z wypustkami aksamitnemi. Kamizelka z białego sukna, ogarniowana szkockimi wstążeczkami, tak samo przybrany jest kołnierz wykładany i wyłogi z niebieskiego aksamitu. U góry biała szmizetka z kołnierzykiem wykładanym, podwiązanym niebieską, jedwabną krawatką. Rękawy przy ramionach

mają płytke zaszewki przestebnowane z wypustkami aksamitnemi, a przy rękę ogarniowane szkocką wstążeczką. Pasek z materiału z przestebnowanemi wypustkami. Kapelusik z białego filcu, przybrany niebieskimi aksamitkami i fantazyjnemi piórami.

Serwetka z haftowanym „point-lace.”

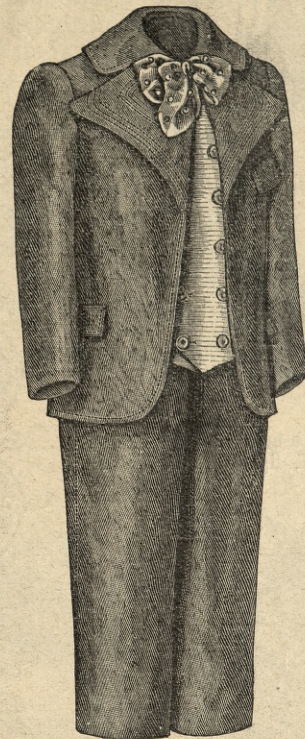
Rycina Nr 22. (Wzór pierw. str. tabl. fig. 55).

Tło serwetki kwadratowe z płótna wielkości 76 cent., wyszyte jest kremowo-złotą nitką, szlak tegoż koloru tasiemeczką i nitką.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

BULKI RADZIWIŁOWSKIE.

Funt mąki rozczynić 8-ma łątami drożdży, rozrobionych kwaterką mleka, gdy ciasto ruszy dodać 10 żółtek, pół funta masła, kwartę mleka, pianę ubitą z pozostałych białek, trochę wanilii, lub cytrynowej skórki dla zapachu, szczyptę soli, kilkanaście drobno siekanych migdałów i ćwierć funta mialkiego cukru. Gdy powtórnie ciasto wyrośnie, robić z niego podłużne buleczki, posmarować żółtkiem, a po wyrośnięciu wstawić do pieca na godzinę, kładąc buleczki na papierze, lub na blasze, masłem wysmarowanej.



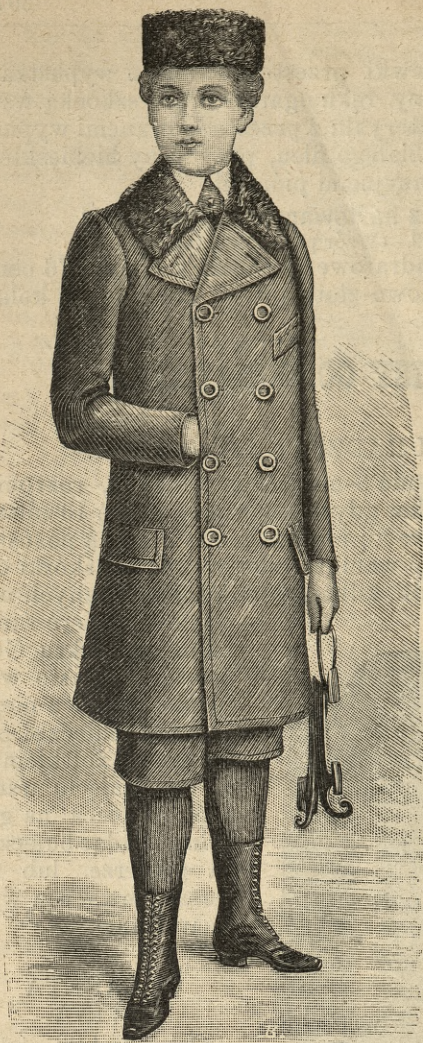
Nr 17. Ubranie dla chłopca od 10—11 lat. (Krój i opis pierwsza strona tablicy Nr VI, fig. 46—54).

GALARETA Z WINA.

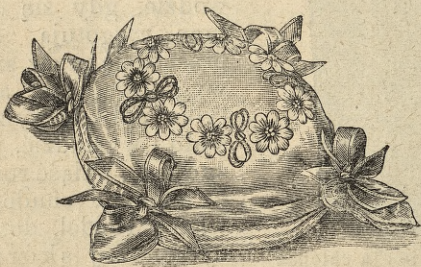
Cztery nożki cielęce z kości obrane i czysto sporządzone, ugotować w wodzie, gdy się dobrze rozgotują, sos precedzić przez sito, wygotować tak, aby tylko pół kwarty zostało i wystudzić, jak zgęstnie, wziąć rosół zupełnie chudego, wlać w rondel, dodać cytrynowej skórki, sok z jednej cytryny, funt cukru, wina bu-



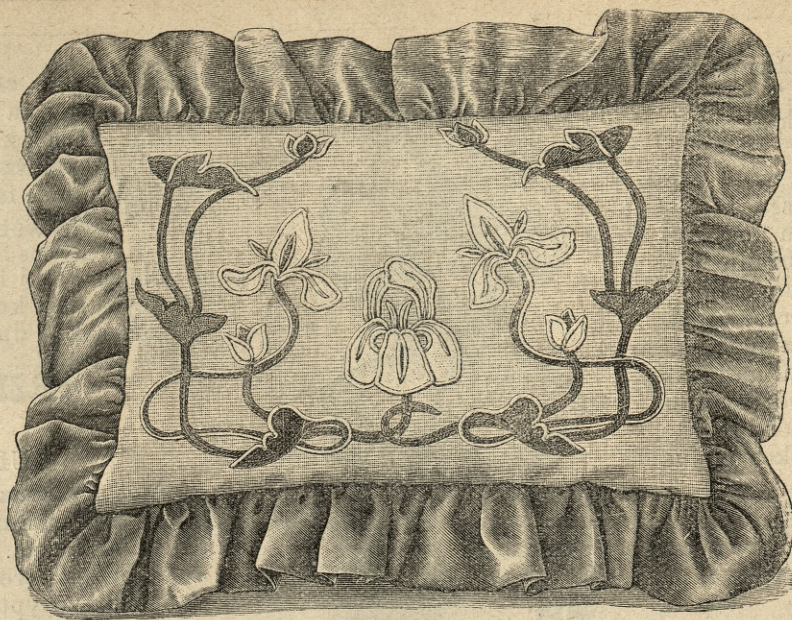
Nr 21. Suknia z fałdowanym stanikiem. (Krój odwrotna strona tabl. Nr XI, fig. 100—104)



Nr 28. Paltocik dla chłopczyka od 11—12 lat.
(Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 86—89).



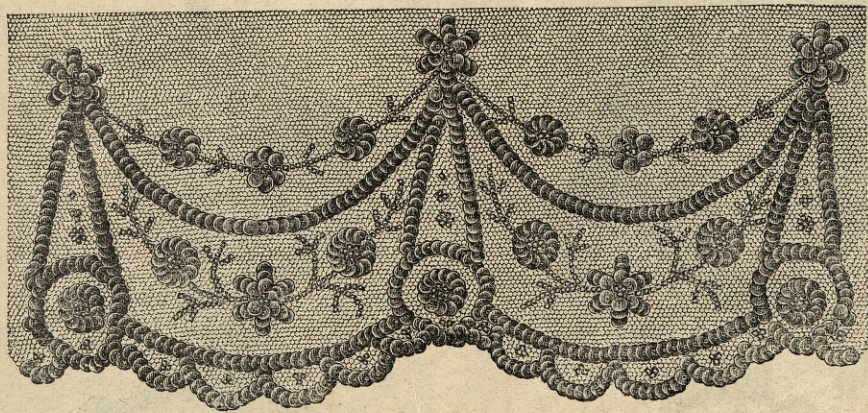
Nr 23. Poduszczyk na tualetę z haftowaną girlandą kwiatów (do ryciny Nr 30).



Nr 31. Poduszka z wysyciem ze skórki.
(Wzór pierw. strona tablicy fig. 57).



Nr 22. Serwetka z „point-lace” haftem.
Wzór pierwsza strona tablicy fig. 55 i 56.



Nr 27. Haft na tiulu paciorkami i dżetami. Połowa wielkości oryginalnej.
(Wzór pierw. strona tabl. fig. 58).



Nr 30. Połowa haftowanej girlandy na poduszkę do ryc. Nr 23.
Wielkość oryginalna.



Nr 29. Sukienka dla dziewczynki od 11—12 lat.
telkę, gotować razem, aż wzięwszy na łyżkę z gęstnie, gdy trochę przestygnie precedzić przez serwetę w naczynie, które ma iść na stół, postawić w lodowni, lub w innem miejscu, aby zastygło.

Obiad na Niedziele.

1. Zupa pomidorowa czysta.
2. Paszteciki w cieście fran- cuzkiem
3. Polędwica z garniturem.
4. Brukselka z masłem.
5. Cietrzewie z kompotem.
6. Budyń z włoskich orzechów.



Nr 24—26. Serwetki do herbaty wyszywane.
(Wzór odwr. str. tabl. fig. 120 i 121).

UWAGA. Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.”

Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,

poleca jak zwykle na sezon jesienny i zimowy:

Flanele, Barchany, Materyały puchowe, Kołdry watowane, flanelowe i pluszowe. Wyroby pończosznicze, Płótna, Ręczniki, Chustki i Stołową bieliznę letniego bielenia.

Materyały meblowe, Dywany, Portyery, Firanki.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

Gotowa bielizna
damska i męska.

Gotowa bielizna
damska i męska.